

dodatek specjalny

Lucjan
Wojanowski 1920
2006



Foto: Mariusz Kubik

Lucjan Wolanowski

LUCJAN WOLANOWSKI

**ur. 26 lutego 1920 r.
w Warszawie
zm. 20 lutego 2006 r.
w Warszawie**

Pisarz, dziennikarz, tłumacz. Syn adwokata Henryka W. Kona (1868-1949) i Róży Wolanowskiej (1883-1932). Siostra, Elżbieta Wassongowa (ur. 1908) jest tłumaczką z j. francuskiego (m.in. J. d'Ormesson, Mme de Staël, A. Vallentin) i rosyjskiego (m.in. F. Abramow, W. Siomin). Córka, Anna Helena Nathan (ur. 1952), mgr farmacji Sydney University, mieszka w Sydney (Australia) i pracuje w zawodzie farmaceutki.

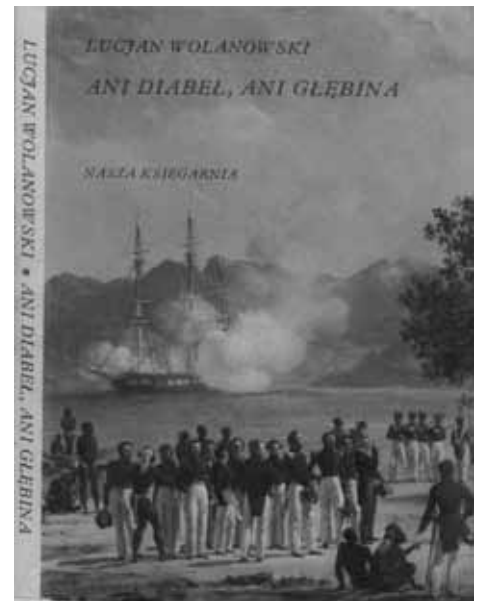
NAUKA SZKOLNA I STUDIA: Gimnazjum im. Mikołaja Reja (Warszawa); Gimnazjum Sanatoryjne Męskie Dra Jana Wiczkorkowskiego (Rabka

– od 1934, matura w 1938 r.); Wydział Elektrochemii i Elektrometalurgii Instytutu Politechnicznego w Grenoble (Francja 1938-1939).

PRACA ZAWODOWA I SPOŁECZNA: dziennikarz: PAP (1945-1951), „Świata” (1951-1969), „Dookoła Świata” (1969-1976), „Magazynu Polskiego” (1976-1988). Od 1988 r. na wcześniejszej emeryturze; Akredytowany przy kwaterze wojsk Narodów Zjednoczonych (1962-1963) podczas operacji desantowych na Nowej Gwinei; Stypendysta Departamentu Stanu USA (1965). Obecność (przedstawiciel „Świata”) na przylądku Kennedy’ego, podczas wystrzelenia pojazdu kosmicznego „Gemini 5”; Doradca Wydziału Informacji Światowej Organizacji Zdrowia WHO (1967-1968).

CZŁONEK: Związku Zawodowego Dziennikarzy RP (1945-1951), SDP (1951-1982 i 1991-2006), Związku Literatów Polskich (1959-1983), PEN-Clubu (1971-2006), Stowarzyszenia Pisarzy Polskich (1989-2006); PPS (1945-1948), PZPR (1948-1980); Członek-założyciel Międzynarodowego Związku Pisarzy Lotniczych przy Zrzeszeniu Międzynarodowego Transportu Lotniczego IATA (Montreal, Kanada, 1960).

NAGRODY, ODZNACZENIA I WYRÓŻNIENIA ZA TWÓRCZOŚĆ DZIENNIKARSKĄ I DZIAŁALNOŚĆ SPOŁECZNĄ: Order Gwiazda Rumunii (1947); Nagroda tygodnika „Odrodzenie” za reportaż pt.: *Syreny gwizdzą o siódmej* (1949);



Medal 10-lecia Polski Ludowej (1955); Złoty Krzyż Zasługi (1956); Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski (1961); Prywatna nagroda E. J. Osmańczyka „Osman” [za *Zwierciadło bogini*] (1962); Nagroda Polskiego Klubu Publicystów Międzynarodowych SDP [za *Klejnot korony*] (1963); wyróżnienie „Książka Miesiąca” w plebiscycie „Kuriera Polskiego” [za *Księżyc nad Tahiti*] (1963); Honorowy Obywatel m. Springfield, Illinois (USA, 1965); Brązowy Medal Za Zasługi Dla Obronności Kraju (1969); Nagroda redakcji „Nowych Książek” – „Książka Roku 1973” [za *Westchnienie za Lapu-Lapu*] (1973); Medal 30-lecia Polski Ludowej





(1974); „Wyróżnienie Doroczne Funduszu Literaturnego Ministerstwa Kultury i Sztuki [za *Ani diabeł, ani głębina*] (1988).

DOKONANIA W ZAWODZIE I PRACY SPOŁECZNEJ:

- współredaktor pisma „Szczębioty” wydawanego w Gimnazjum Sanatoryjnym Męskim Dra Jana Wierzyńskiego (m.in. z Jackiem Woźniakowskim; Opiekun: prof. Jan Kuczka; Rabka 1935-1938);
- debiut dziennikarski na łamach podziemnego pisma konspiracyjnego „Kronika Tygodniowa” („Historijki w cieniu historii”, 1941);
- do 1956 roku artykuły o tematyce krajowej m.in. w pismach: „Dzień Warszawy” (konspir.; Warszawa 1943-1944); „Dziś i Jutro” (1946, ps. Wilk); „Horyzonty” (Fryburg, Szwajcaria 1947); „Przekrój” (1947-1951; m.in. cykl pt.: „Teraz to już można opowiedzieć”); „Życie Warszawy” [1949 (m.in. fragmenty reportażu nagrodzonego na konkursie „Odrodzenia” pt.: *Syreny gwizdzą o siódmej*, nr 29); 1953-1954]; „Świat” [od 1951 r.; m.in. cykle: „Śladami brudnej sprawy” (1954); „Dwaj stamtąd” (1955); „Dziennik dziennikarza” (1956)]; „Morze” (1952-1953);

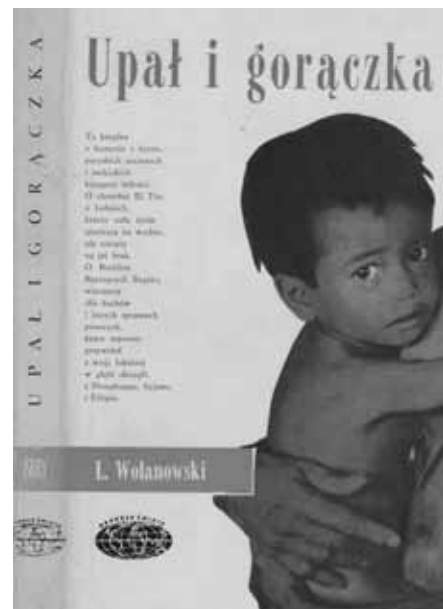


„Nowa Kultura” (1952); „Express Wieczorny” (1956; korespondencje z tzw. „Procesu Mazurkiewicza”, Kraków);

- od 1956 roku artykuły o tematyce krajowej i liczne reportaże zagraniczne, m.in. w pismach: „Poznaj Świat” (1956-1957); „Świat” [do 1969 r.; m.in. cykle: „Cudze skrzydła” (1957), „Lądy i ludy” (od 1957); „Na dno i z powrotem” (1958); „Druga, ale czy ostatnia” (z Japonii, 1960), „Azja 1960” (1960)]; „Dookoła Świata” [od 1963 r.; m.in. cykle korespondencji z Australii (1965-1967, 1975), Azji i Filipin (1968), Szwajcarii (1972)]; „Kontynenty” (1967-1968); „Życie Warszawy” (1967-1968); „Vlasta” (Praha, 1968); „Kulisy” (1969-1970); „Tydzień Polski” (Paryż, 1972-1973); „Przekrój” (korespondencje zagraniczne 1973-1996), „Gazeta Uniwersytecka UŚ” (2000-2003), „Polski Kalendarz Europejski” (2003-2004);
- relacje dla WHO [teren działania: Zachodni Pacyfik i Azja Pd.-Wsch. (1967-1968)], dotyczące chorób tropikalnych i handlu narkotykami na Filipinach, w Tajlandii, Hongkongu, Sarawaku, Sabah i Brunei;

- przekład książki: Ewen Montagu, *Człowiek, którego nie było* [wspomnienie z wojny 1939-1945] („MON” 1958); Tłumaczenia prasowe z obcych języków (pod pseud. Waldemar Mruczkowski). Inne podpisy i pseudonimy: Wilk (prasa konspiracyjna AK i częściowo powojenna); W. Lucjański („Przekrój” – „Rozmaitości”); (L.W.); lu; (LW).

PUBLIKACJE KSIĄŻKOWE: *Ośmiornica. Historia jednego koncertu* („Książka i Wiedza” 1952); *Przeważnie o ludziach* („Czytelnik” 1953); *Na południe od Babiej Góry* („Iskry” 1954); *Śladami brudnej sprawy* („Książka i Wiedza” 1954); *Cichy front* („Iskry” 1955, 1956); *Czy Stanisław Talarek musiał umrzeć?* (z Mirosławem Azemskim; „MON” 1955); *Dokąd czy poniosą* („MON” 1958, 1959); *Żywe srebro* (z Henrykiem Kawką; „MON” 1959, 1963); *Zwierciadło bogini. Reporter w kraju tranzystorów i gejsz* („Czytelnik” 1961, 1962, 1964); *Klejnot korony. Reporter w Hongkongu w godzinie zarazy* („Czytelnik” 1963); *Księżyc nad Tahiti. Reporter na wyspach mórz południowych* („Czytelnik” 1963); *Basia nad biegunem* („Biuro Wydawnicze »Ruch«” 1964); *Dalej niż daleko. Reporter na Nowej Zelandii, Nowej Gwinei, w Malazji i Kambodży o dolach i niedolach, radościach i smutkach lądów i ludów oglądanych dalej niż daleko* („Czytelnik” 1964); *Ocean nie bardzo Spokojny* („Czytelnik” 1967); *Początek do Nigdy-Nigdy. Reporter w kraju Koala i białego człowieka* („Czytelnik” 1968, wyd. uzupełnione 1970, 1972, 1978, wyd. zmienione 1989); *Z zapartym tchem* („Iskry” 1969); *Upał i gorączka. Reporter wędruje szlakiem cierpienia* („Iskry” 1970, 1973; wyd. uzupełnione: „Muza S.A.” 1996); *Westchnienie za Lapu-Lapu. Reporter na najdalszym Dalekim Wschodzie* („Czytelnik” 1973, 1976); *Min-Min. Mała opowieść o wielkim lądzie* („KAW” 1977); *Walizka z przygodami. Reporter tu, reporter tam* („Iskry” 1977); *Lądy i ludy* („Czytelnik” 1979); *Buntownicy mórz południowych. Reporter na tropie buntu na okręcie Jego Królewskiej Mości „Bounty”* („Nasza Księgarnia” 1980,



1986); *Ląd, który przestał być plotką* („PIW” 1983); *Ani diabeł, ani głębina. Dzieje odkryć Australii, opowiedziane ludziom, którym się bardzo spieszy* („Nasza Księgarnia” 1987); *Nieznaną Australią: rzeczywistość przekracza fantazję* (książka nie wydana, maszynopis).

HOBBY, SPOSÓB SPĘDZANIA WOLNEGO CZASU: lektura książek i pism (polskich i australijskich), zbieranie biletów i nalepek lotniczych; herbaty (zwłaszcza z Dalekiego Wschodu), kuchni chińska, dalekowschodnia i żydowska.

ULUBIONE LEKTURY: literatura faktu (w różnych językach), twórczość A. Drożdżyńskiego, J. Tuwima, A. Słonimskiego, J. Haška, E. E. Kischka, J. Kessela. Literatura historyczna – dzieje Australii i Oceanii. Artykuły dotyczące II Wojny Światowej w „Der Spiegel”.

OFICJALNA STRONA INTERNETOWA:
<http://www.wolanowski.com>

opr.:
 MARIUSZ KUBIK
 kmarius@onet.pl



Dziennikarskie perypetie „reportera na zakrętach dziejów”

reportaż - historia i współczesność - podróże

teksty i fotografie archiwalne, wspomnienia

<http://www.wolanowski.com>

Oficjalna strona internetowa Lucjana Wolanowskiego

ZOBACZ KONIECZNIE!!

Podróże Wolanowskiego

Cztery razy dookoła świata

Żaden polski reporter nie odbył takiej podróży i żaden polski reporter nie napisał z tych podróży kilkunastu książek, które, jak książki Wolanowskiego, miały wielkie nakłady, wiele tłumaczeń i wiele wydań. Jak to było możliwe, zwłaszcza w czasach, gdy paszport był rarytasem i dolar był rarytasem?

To bardzo proste – odpowiada Lucjan Wolanowski: Ja mogę powiedzieć tak, jak powiedział francuski pisarz Paul Morand – „Tak lubię podróże, że chciałbym, aby z mojej skóry zrobili walizkę”. Do podróży przywykłem już w dzieciństwie. Z rodzinnej Warszawy wyprawiono mnie na cztery lata do Rabki (1934-38), tam musiałem robić maturę z powodu gruźlicy nerek. Z kolegą, obecnie znanym historykiem sztuki, prezydentem Krakowa Jackiem Woźniakowskim wydawaliśmy pismo pt.: „Szczebioty”, z tym, że on preferował teksty filozoficzno-religijne, a ja reportaże. Drugą podróż odbyłem do Grenoble, na politechnikę, na wydział chemii. Ale ja, chociaż świetnie znałem francuski, nadawałem się do chemii jak do... podłuchu. Bo „w wieku” 6-ciu miesięcy utraciłem słuch w jednym uchu. W dodatku studia miały bardzo wysoki poziom, młodzi Francuzi zdawali

wtedy matury na rataszu, w wieku 16 lat jako egzamin państwowo.

Wysłanie mnie przez ojca do Francji było pomyslane „na zawsze”: nadchodził faszyzm. Jednak ja wierzyłem naszej propagandzie, wierzyłem, że na trzeci dzień po wybuchu wojny ułani wejdą do Berlina. Więc w sierpniu 1939 roku ostatnim pociągami jadącym do Polski przez Niemcy wróciłem do Warszawy. I to nie był głupi pomysł, bo gdyby nie mój powrót, to siostra i ojciec nie przeżyliby okupacji. Druga siostra, która udawała się za mężem do pułku artylerii w Brześciu, wylądowała na zesłaniu w Autonomicznej Maryjskiej Republice...

Najdłuższa podróż – przez okupację

Ojciec był wziętym adwokatem warszawskim, mieliśmy własny dom przy Królewskiej 25. Skończył studia w Dorpacie, dziś Tartu, w Estonii. Był to jedyny uniwersytet w carskim imperium z niemieckim językiem wykładowym. Ojciec miał nie tylko prawo występować przed niemieckimi sądami, ale również dobrze znał Niemców. Toteż kiedy w 1940 roku ogłoszono organizowanie w Warszawie getta, a jakże, z żydowskim samorządem i wszelkimi wygodami, ojciec powiedział: Nigdy! I tak przez 5 lat trwała nasza podróż po Warszawie i wokół Warszawy. 5 lat ukrywaliśmy się we trójkę. Ja miałem 7 kennkart, okupacyjnych dowodów osobistych, ale kiepskich, bo dobry dowód tzw. „na nieboszczyka” był bardzo drogi. W roku 1941 nawiązałem kontakt z Armią Krajową, dostałem radio z londyńskich zrzutów i to była moja pierwsza praca dziennikarska: opracowywanie serwisów informacyjnych. Czasu miałem dużo, bo przez te 5 lat praktycznie w dzień nie wychodziłem z domu. Więc ze strachu nauczyłem się niemieckiego a potrzeby słuchania BBC – angielskiego. Słuchałem fran-



Konferencje prasowe w MSZ, Warszawa, lata 40-te. Lucjan Wolanowski – pierwszy z prawej

cuskich audycji „Honor i ojczyzna – oto generał de Gaulle”, słuchałem programów dla brytyjskich wojsk w Indiach i audycji po niemiecku „Mówi Londyn do Wermachtu”, a także „Mówi Londyn do niemieckiej marynarki wojennej i miast na Wybrzeżu”. Był to program BBC. Pamiętam moje pierwsze dziennikarskie honorarium uzyskane za pośrednictwem mojego wysokiego przełożonego w AK, Teofila Sygi, wybitnego mickiewiczologa, było to okupacyjne 50 złotych. Koniec wojny w Podkowie Leśnej, to nie były dla mnie żadne czołgi, żadne armaty. Pod dom podjechał jeden krasnoarmiejec na kucu i zapytał „Giermańcy gdzie?” i pojechał dalej.



Z Jerzym Janickim, podczas „Procesu Mazurkiewicza” w Krakowie (1956 r.)



Róża Wolanowska (1883-1932) – matka pisarza



W swoim gabinecie – pracowni (lata 60-te XX w.)

Gdybyś wierzył w to co piszesz...

Po wojnie podjąłem pracę w Polskiej Agencji Prasowej pod kierownictwem sławnej Mincowej, żony sławnego Minca. Ale miałem złe pochodzenie i niesłuszne myślenie, więc pozwalano mi się zajmować tylko duperelami. Za to mogłem



przyglądać się pracy tak wybitnych komentatorów zagranicznych jak Ed Murrow, Larry Allen czy Vincent Buist z Reutera. Ten pierwszy mówił do mnie: „Ciekawe co ty byś pisał, gdybyś wierzył

w to, co piszesz”, a ten drugi, oprócz słynnych komentarzy znany był z tego, że skorumpował warszawskie wyścigi, miał w kieszeni wszystkich dżokejów. Od korespondentów zagranicznych miałem książki i gazety, od nich uczyłem się dziennikarstwa. Kiedy Mincowa w 1952 roku powiedziała, że nie widzi dla mnie przyszłości – udało mi się dostać do tygodnika „Świat”, w którym pracowałem przez 17 lat, do 1969 roku. Jednak więcej pisałem w „Przekroju” niż w „Świecie, gdzie byłem raczej na dziennikarskie posyłki. Ale przyznać trzeba, że mój reportaż z fabryki



żelazek miał dobry tytuł... „Wędrówka dusz”. Kiedy w roku 1956 miało nastąpić ozdrowienie Polski ja, na moje szczęście znów zachorowałem, niezbędna była operacja ucha, możliwa tylko

w Sztokholmie. Jednak profesor Lennart Holmgren oświadczył, że jest niemożliwa, miałem wracać do Warszawy zaplombowanym wagonem kolejowym przez NRD. Takie były wtedy zwyczaje, jeden taki wagon doczepiano do pociągu ze Sztokholmu do Niemiec zachodnich. Podczas kilkudniowego pobytu w Sztokholmie doznałem olśnienia: przecież szwedzkie linie lotnicze SAS mają zainaugurować loty do Polski! Poszedłem do ich biura, pokazałem legitymację „Świata”, a to był wtedy najbardziej znany polski tygodnik. Dali mi darmowy bilet na podróż do Kiruny, na daleką północ, do kopalni rud żelaza. Stamtąd napisałem dwa moje pierwsze reportaże zagraniczne.

Na szczęście... cholera

Na szczęście te reportaże spodobały się Szwedom, na szczęście nie znali pierwszego tomu moich reportaży „Przeważnie o ludziach”, a były to nudy na pudry o budowach socjalizmu. Biuro SAS w Warszawie zaczęło mi dawać bezpłatne bilety na wyjazdy zagraniczne. Pierwszy był do Japonii i wtedy napisałem tom reportaży „Zwierciadło bogini – reporter w kraju tranzytorów i gejsz” (1961). O dziwo ta książka się spodobała i chociaż nie wiem skąd się o tym dowiedzieli Francuzi, to dostałem od francuskiej prywatnej linii lotniczej bilet na przelot dookoła świata. Wtedy po raz pierwszy poleciałem do Australii, później latałem tam jeszcze 7 razy. Po prostu po to, żeby napisać 3 książki. Ale w tej podróży trafił mi się jakże szczęśliwy pech: lądujemy w Hongkongu i widzę jakieś poruszenie, jakieś przepychanki, walkę o bilety, odkupywanie biletów. O co chodzi? Epidemia cholery! Pomyślałem sobie: ja to mam w nosie, ja mam bilet dookoła świata, a przecież mogę opisać tę epidemię cholery. I w roku 1961 ukazała się książka „Klejnot Korony – Reporter w Hongkongu w godzinie zarazy”. Nie będę skromny – ta książka miała wielkie powodzenie, miała wiele przekładów, to była pierwsza z moich książek tłumaczona na języki obce. Dla słynnego wydawnictwa Brockhaus Verlag przetłumaczył ją mój późniejszy wieloletni przyjaciel, miłośnik Polski i Polaków, Bolko Schweinitz z Jeny.

Od tego momentu nastąpił zwrot w mojej reporterskiej karierze, dostawałem od zagra-



W pracowni pisarza (2005 r.)





Paszport ONZ

nicznych linii lotniczych darmowe bilety, przesiadałem się od maszyn latających do maszyny do pisania. Czasem musiałem odrywać od niej rękę. Kiedy żona, śpiewaczka operowa ćwiczyła swój głos – ja otwierałem okno i wystawiałem rękę na zewnątrz, żeby ludzie nie myśleli, że... ją biję.

W 1965 roku odezwał się w moim domu telefon. Dzwonili z Genewy, ze Światowej Orga-

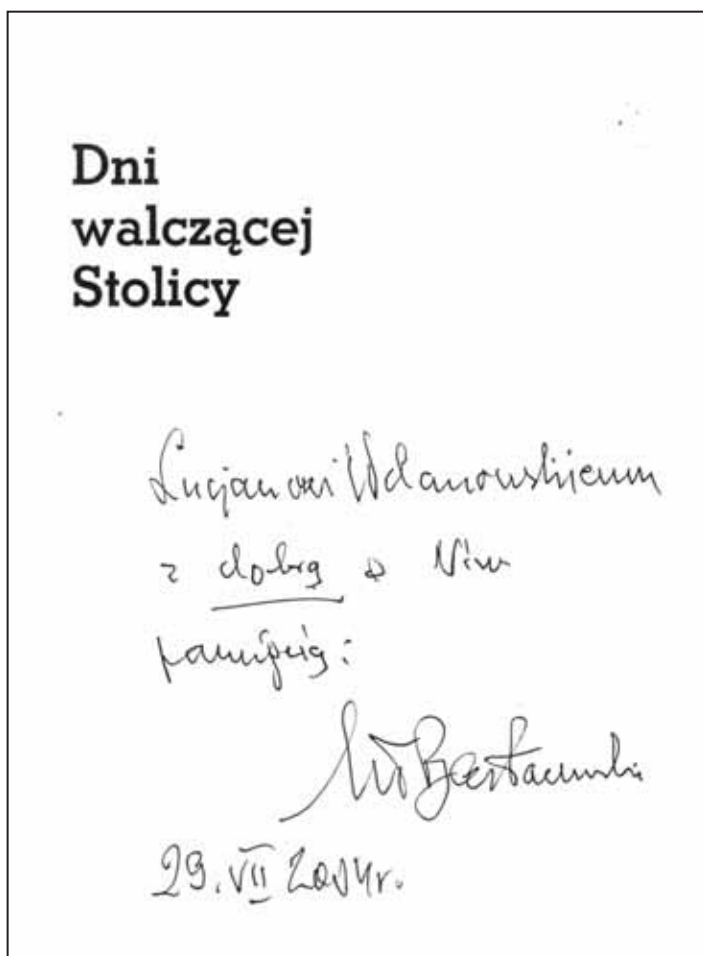
nizacji Zdrowia: „W jakim języku chce Pan rozmawiać? Będzie mówił szef wydziału informacji, dr Chandler”. A Chandler powiedział: „Czytałem ciekawą książkę pana o epidemii w Hongkongu. Chciałbym z Panem w niedługim czasie porozmawiać. Dzisiaj jest piątek, więc może w poniedziałek o 10.00?” Na co ja uprzejmie: „Z miłą chęcią, ale ja nie mam biletu, wizy i paszportu, a to u nas musi potrwać”. Po pięciu minutach zadzwoniono do mnie

ze szwajcarskich linii lotniczych, że do odebrania jest bilet, a po następnych pięciu minutach nastąpił telefon z ambasady Szwajcarii, że mogę odebrać wizę. Polecałem do Genewy. Światowej Organizacji Zdrowia chodziło o to, żeby napisać książkę o takich chorobach rejonu Pacyfiku, których w przyszłości spokojna Europa też powinna się obawiać. Musiałem przejść badania, bo nie miałem mieszkać w hotelach, ale w tropikalnych warunkach polowych. Dostałem paszport Narodów Zjednoczonych, bo z polskim do wielu krajów w ogóle by mnie nie wpuszczono. Miałem napisać książkę pokazującą bezmiar nieszczęść tropikalnych chorób w czasie, gdy żaden kontynent nie może się ich nie bać, w czasie, gdy śmierć podróżuje odrzutowcem.

Proces słonia

Nie powiem, że się tej podróży nie obawiałem. Joseph Kessel, światowej sławy reporter, którego poznałem w Genewie, miał dużo łatwiejsze zadanie. Znany był ze swoich reportaży jeszcze z pierwszej wojny światowej i teraz, podobnie jak ja, miał lecieć w świat na zlecenie Światowej Organizacji Zdrowia. Dokąd lecisz z takiej firmy? – zapytałem. Do Assamu. A cóż takiego ciekawego dzieje się w Indiach? O! Pasjonujący temat. Tam odbędzie się proces słonia. Kornak, poganiacz słonia, bardzo zwierzęciu dokuczał, więc słoń zwał kornaka i na śmierć rozdeptał. A co to ma wspólnego ze Światową Organizacją Zdrowia? Jak to co! Przecież to słonia musiało boleć.

Moja podróż trwała ponad pół roku i napisałem z niej dosyć głośną książkę pt.: „Upał



Dedykacja prof. Władysława Bartoszewskiego



Z Thorem Heyerdahlem (1914-2002), sławnym podróżnikiem norweskim (Oslo, 1957 r.)

Foto: Archiwum L. Włodanowskiego



LENNART MERI
President
of the Republic of Estonia

Spotkanie z prezydentem Estonii Lennartem Meri (29.03.1929 – 14.03.2006), dawnym kolegą – reporterem



W dniu 85. urodzin (Warszawa, 26.02.2005 r.)

i gorączka". Miała wiele tłumaczeń i 3 wydania krajowe, ostatnie w ubiegłym roku*. Przypomnę książki, które od dłuższego czasu nie miały wznowień: „Westchnienie za Lapu – Lapu” (daleki Wschód), „Ocean nie bardzo Spokojny” (Nowa Zelandia, Malaj, Singapur), „Księżyc nad Tahiti”, „Pocztą do Nigdy-Nigdy” i „Łąd, który przestał być plotką” (Australia, Nowa Gwinea, Kambodża). Chociaż 8 razy byłem w Australii, chociaż poświęciłem jej 3 książki, to jednak chyba najchętniej znów poleciałbym do tego „kraju ponad 5 tysięcy lotnisk”, bo tam się głównie lata. Poleciałbym, bo tam w Sydney, mieszka moja córka farmaceutka, bo tam zawsze zdarzyć się może coś nieoczekiwanego. Oto pewna australijska dama na ostatnią gwiazdkę wśród wielu upominków nabyła także mały telefon komórkowy. Ale oto o dziwo, mający być nim obdarowany, nie znalazł pod choinką prezentu. Dama, nie rozumiejąc co się stało, przypuszczała już nawet, że może nie zabrała telefonu ze sklepu, udała się tam a ekspedient na to: przecież wystarczy zadzwonić na numer tego telefonu i aparat sam się odezwie. Odezwał się... w brzuchu wielkiego psa tej damy. Wystarczyło poczekać i starannie umyć spóźniony gwiazdkowy prezent...

ANDRZEJ TUMIALIS

* Tekst ukazał się pierwotnie w „Tygodniku Ciechanowskim”, 27 stycznia 1998 r. Drukujemy za łaskawą zgodą Autora. (M.K.)

Recenzenci donoszą czyli prasa o Lucjanie Wolanowskim i jego książkach

Autor nie popełnia szeregu błędów, jakie zdarzają się jego kolegom po piórze. Po pierwsze – nie raczy nas opisami w s z y s t k i e g o co przeżył i przeżył w chronologicznym porządku, od opuszczenia Dworca Głównego poczynając. [...] Píše nie chronologicznie a problemowo, w sposób starannie przemyślany. Nie demonstruje swojego notesu reporterskiego, uważając go zapewne za intymną część duchowej garderoby – lecz starannie przepisany w domu maszynopis. [...] Wolanowski zna sekret reporterskiego powodzenia; wie, że musi się przed czytelnikiem zdemaskować, pokazać mu swoje „ja”, [...] jest taktownym, miłym, nie narzucającym się towarzyszem podróży. Nie popisuje się, na odwrót – znając ludzką psychologię – dyskretnie podkreśla swoje drobne niepowodzenia, śmieszne słabości i ciągoty. [...] Elegancja, zwięzłość

i, chciałoby się powiedzieć, skuteczność w trafianiu w istotę opisywanego świata – oto cechy pisarstwa Wolanowskiego. A także nie wymęczony, lecz spontaniczny dowcip, nadający całej książce ton pogodny, lekko kpiarski, a miejscami, np. wówczas gdy mowa o tym, czego moglibyśmy się nauczyć od zagranicy – satyryczny.

Andrzej Drawicz, Miła podróż z Wolanowskim, Żołnierz Wolności, nr 32, 16.02.1959. [o książce pt.: Dokąd czy poniosą, 1958]

* * *

Po poznaniu setek faktów i obserwacji wyłania się przed nami bardziej uchwytny obraz współczesnej społeczności japońskiej. Obraz ten jest tym jaśniejszy, że Wolanowski powołuje się często na

przykłady historyczne. [...] Ta metoda ustawicznego porównywania współczesnej Japonii zarówno z jej historią, jak i z naszą współczesnością przyniosła piękne rezultaty w postaci książki i pouczającej i ciekawej. Japonia bowiem „żyje nieustannie na styku między jutrem z zamierzczłą historią. Jest to kraj, gdzie wszystko odbywa się inaczej, gdzie skok od samuraja do budowniczego największych zbiornikowców świata dokonał się w niespełna sto lat. Japońska restauracja stosuje w kuchni paleńska na promieniach podczerwonych, ale goście kucają na matach i obuwiu oddają do szatni”. Kraj kontrastów i sprzeczności, nowoczesna cywilizacja i stary obyczaj.

T.S., W kraju tysiąca zagadek, Stolica, 18.02.1962. [o książce pt.: Zwierciadło bogini. Reporter w kraju tranzystorów i gejsz, 1961]

* * *

Instykt rasowego reportera podyktował karty tej książki. Wypadki zresztą i sceneria tego arcyegzotycznego punktu naszej ziemi pomogły autorowi. Hongkong, mikroskopijna enklawa brytyjska na kontynencie chińskim jest sam już dostatecznie kolorowy i naładowany konfliktami losów ludzkich i paradokсів historycznych, by wystarczyć za temat do reporterskiej przygody. Cóż dopiero, gdy pisarza z dalekiego północnego kraju w kilka godzin po rozpakowaniu walizek w hotelu atakuje wiadomość o epidemii dżumy w Hongkongu.

Wolanowski znakomicie wykorzystał tę okazję. Sporządził książkę, w której meldunki z pola walki przeciwko tej straszliwej chorobie wplecione są w zwykły rytm życia kilkumilionowej masy ludzkiej wciśniętej w ten skrawek lądu. Prowadzi swoją relację w sposób zobiektywizowany, ze zwykłym dla swojej reporterskiej manieri dystansem, podbudowanym spokojną refleksją człowieka bywałego.

R. Kos., Reportaż z zadżumionego miasta, Życie Literackie, nr 23, 9.06.1963. [o książce pt.: Klejnot korony. Reporter w Hongkongu w godzinie zarazy, 1963]

* * *

Z anegdot, ze szczegółów, z migawek obyczajowych, aluzji historycznych i zapisków z dni osobistych składa się całość daleka od pedanterii i wolna od balastu antyreporterskich statystyk, ale za to żywo wtopiona w terażniejszość opisywanego kraju – terażniejszość polityczną, społeczną i przede wszystkim obyczajową, nie stroniącą zresztą od prób syntezy, z której wnioski i ocena ogólna należą już do czytelnika.

Jan Alfred Szczepański [JASZCZ], Z bliska i z daleka, Trybuna Ludu, nr 222, 13.08.1963. [o książce pt.: Księżyc nad Tahiti, 1963]

* * *

Lucjan Wolanowski ma już za sobą trzy podróże dookoła globu, z czego jedną szlakiem pod Biegunem Północnym. Pływał z australijską flotą wielorybniczą, na piradze wokół Bora – Bora, na dżonce na wodach chińskich i na statku obsługującym latarników Morza Koralowego, na odmianę przesiadał się na słoniu, docierał stateczkiem portowym na wysepkę Makatea, zwaną piekłem Pacyfiku, na miejsce kaźni komunardów koło Nowej Kaledonii, asystował wybuchowi cholery w Hongkongu, rzucało go po świecie od kulis Domu Mody w Paryżu po palarnie opium w Azji, od kaznodziejów w Genewie po szpitale trędowatych na antypodach. [...]

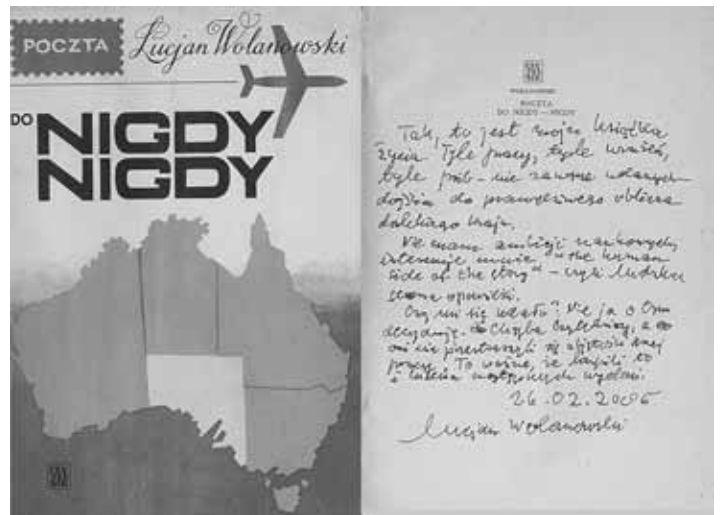
Wolanowski jest dobrym technikiem. Docenia barwę liczby, ale woli jej nie podawać na surowo, tylko w porównawczych kontekstach. Zrywa też z nieznośną manierą, która w pierwszym ustępie każe autorowi zaczynać per „już w starożytności”, następne dwa poświęcać zastrzeżeniom, że „aczkolwiek, to z drugiej strony”, wygradzając się od zarzutów i dopiero w czwartym albo i w dalszym ustępie dowiaduje się de quois s'agit-il, jak miał niecierpliwie przecinać raporty Foche. Wolanowski lubi startować zbliżeniem. Po zbliżeniu natychmiast – zdjęcie szerokokątowe. Problem. Reportaż wywodzi się z dziennikarki albo literatury. U Wolanowskiego raczej z dziennikarki.

Melchior Wańkowicz, Porcja smaków, Nowe Książki, 15.12.1967. [o książce pt.: Ocean nie bardzo Spokojny, 1967]

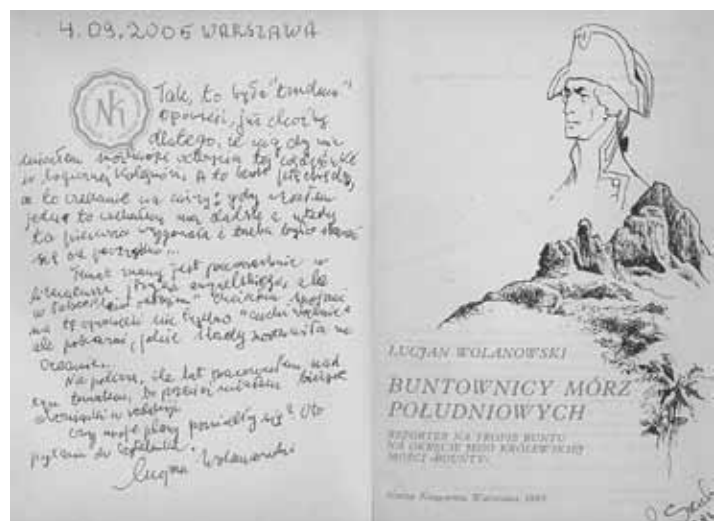
* * *

Na pierwszy rzut oka wydaje się, że Wolanowski spędził w Australii połowę życia. Wszędzie był, wszystko widział, opisał najciekawsze i charakterystyczne drobiazgi nie pomijając ani historii, ani spraw generalnych. [...] Wolanowski należy do wielbicieli, jak pisze, talentu E. E. Kische. Trzeba jednak stwierdzić, że uczeń przeszedł mistrza. Wolanowski jest lepszy. Dlaczego? Trzeba wierzyć na słowo, tak jak książce. Humor Wolanowskiego wydaje mi się, mimo wszystko, bliższy. „Gdyby ludzie jaskiniowi umieli się śmiać, to historia potoczyłaby się inaczej”. Tak, wierzyć na słowo. Bo któż pojedzie tylko po to, żeby przeliczyć 175 milionów sztuk owiec i 19 milionów sztuk bydła? Wolanowski zalicza się do reporterów „z adresami”. Wie, czego należy szukać, którędy i przez kogo.

Stanisław Zieliński, Koneser bumerangów, Kultura, nr 34, 25.08.1968. [o książce pt.: Poczta do Nigdy-Nigdy, 1968]



“Tak, to jest moja książka życia. Tyle pracy, tyle wrażeń, tyle prób – nie zawsze udanych – dojścia do prawdziwego oblicza dalekiego kraju. Nie mam ambicji naukowych, interesuje mnie «the human side of the story» – czyli ludzka strona opowieści. Czy mi się udało? Nie ja o tym decyduję. Chyba Czytelnicy, a oni nie przestraszyli się objętości mej pracy. To ważne, że kupili to i kilka następnych wydań” – Autokomentarz Wolanowskiego do „Poczty do Nigdy-Nigdy”, napisany w dniu 85. urodzin pisarza (Warszawa, 26.02.2005, Archiwum Mariusza Kubika)



“Tak, to była «trudna» opowieść, już choćby dlatego, że nigdy nie miałem możliwości odbycia tej wędrowki w logicznej kolejności. A to czekanie na wizy: gdy miałem jedną, to czekałem na dalsze a wtedy ta pierwsza wygasła i trzeba było starać się od początku... Temat znany jest powszechnie w literaturze języka angielskiego, ale w Polsce «leżał odłogiem». Chciałem spojrzeć na tę opowieść nie tylko «archiwalnie» ale pokazać, jakie ślady zostawiła na Oceanie... Nie policzę ile lat pracowałem nad tym tematem, bo przecież miałem bieżące obowiązki w redakcji. Czy moje plany powiodły się? Oto pytanie do Czytelnika” – Autokomentarz Wolanowskiego do „Buntowników mórż południowych” (Warszawa, 4.09.2005, Archiwum Mariusza Kubika)



Świat musi uporać się z chorobami tropikalnymi. Dręczą one ludność Azji, ale w epoce odrzu-towców – mogą zagrażać całej ludzkości

Fotografie: L. Wolanowski



Niegdyś byli mieszkańcami lądu w dole globusa. Ale potem przyszedł Europejczyk...



Tajlandia, kult dawno zmarłego monarchy – ciągle żywy. Ale wokoło – stal i beton, rosną nowoczesne budowle...

* * *

* * *

Reportaże z wędrowek o szerokim zasięgu geograficznym: od ulic Warszawy do australijskiego buszu i Nowej Gwineji. Autor przystaje na dłużej w Monte Carlo i Paryżu, gdzie w toku studiów nad zgnilizną kapitalistyczną sumiennie zwiedza kasyno gry i co lepsze restauracje.

Maria Danilewicz-Zielińska, Kultura (Paryż), nr 1-2 / styczeń – luty 1970. [o książce pt.: Zapartym tchem, 1969]



Co czeka w dorosłym życiu tego malca z najbardziej Dalekiego Wschodu?...

W cywilizacjach rozwiniętych wielkim jest zmartwieniem ochrona naturalnego środowiska. Zmartwienie słuszne, tylko sam termin obłudny. To co pragniemy chronić, to środowisko najdokładniej wypreparowane z elementów niepożądanych – natura wynaturzona w bardzo rozmyślny sposób! W środowiskach rzeczywiście naturalnych ludzie żyją marnie i krótko. Przeludnienie, głód, ciemnota, choroby to tylko różne strony jednej wielkiej elementarnej niedoli. [...] Wolanowski to chyba najczęściej szczepiony dziennikarz polski, ponieważ stale jeździ do dalekich krajów. Ale szczepienia nie chronią przed każdą chorobą. A już zupełnie nie ma szczepionki na zachowanie odporności psychicznej. [...] Polecam reportaży tym, którzy rzuciwszy okiem na skrzydełko książki pomyślą „ten sobie jeździ”... A jeździ, jeździ, ale wygodę nie szuka i często zagląda tam, skąd inni nawaliby natychmiast z zamkniętymi oczami.

Wisława Szymborska, Lektury nadobowiązkowe, Życie Literackie nr 3, 20 01.1974. [o książce pt.: Upał i gorączka, 1973]

* * *

Dla Wolanowskiego istotny jest nie tylko fakt czy zdarzenie, ważny jest również sposób, w jaki do niego doszedł, w jakich okolicznościach doszedł do tego czy innego elementu reportażu. Píše on sam na ten temat: „W reportażu bocz-

ne ścieżki są zazwyczaj znacznie ciekawsze niż szerokie gościńce”. Czytając jego opisy zdarzeń, krajów i ludzi, czytelnik towarzyszy jak gdyby reporterowi. To powoduje, że lepiej rozumie intencje autora, łatwiej wyciąga wnioski z rzeczy pozornie egzotycznych.

Henryk Kurta, Boczne ścieżki wielkiej niewiadomej, Nowe Książki, nr 22, 30.11.1973. [o książce pt.: Westchnienie za Lapu-Lapu, 1973]



Tam gdzie są Chińczycy – tam się pracuje od wczesnego dzieciństwa. Woda słodka na wyspce koło Hongkongu – jest cennym skarbem

* * *

Wolanowski należy do tych pisarzy, którzy są doskonale przygotowani do tematu. Poczują się do odpowiedzialności wobec czytelnika. „Nie policzę nawet – powiada – ile kartek wrzuciłem do kosza a ile trafiło do drukarni”. [...] Talent opisywania swych doznań sprawia, że Wolanowski może o swojej książce powiedzieć czytelnikowi, iż jest ona jego „okiem i uchem”. Czyli – „zupełnie jakbyście sami przy tym byli”... To właśnie są walory opisywania wydarzeń z podróży, która autopsję przemienia w relację. [...]

Marian Podkowiński, Walizka pełna przygód, Nowe Książki, nr 7, 15.04.1978. [o książce pt.: Walizka z przygodami, 1977]

* * *

Jest to lektura uroczą, smaczna i żywo przypominająca tuwimowski „groch z kapustą” tyle, że przyrządzony na... mięsie z kangura. Rozwierzona książka, w której trudno odszukać drugi raz śmieszny anegdotę i informację, wbrew pozorom zawiera ogrom wiedzy: o historii, obyczajach i życiu Australijczyków. Czegóż to nie można od autora dowiedzieć się o kangurzej krainie? Jest niemal wszystko! O telefonach i o latającym doktorze, o Wielkiej Rafie Koralowej i dzielnym acz nieszczęśliwym Flindersie, o aborygenach czyli dawnych Australijczykach, o czarnym łabędziu, herbowym ptaszku Zachodniej Australii, a także o starych dylizansach, pylnych szlakach i australijskim winie. Nie można zresztą streścić owej książki! Można najwyżej przytoczyć ciekawe wyimki, ale i tak nie oddadzą one charakteru tej dość oryginalnej i przyciągającej pracy.

Janusz Wolniewicz, Australijski cicer cum caule, Nowe Książki nr 51, grudzień 1983. [o książce pt.: Łód, który przestał być plotką, 1983]

* * *

Po powrocie z jednej ze swych podróży na Pacyfik L.W. opowiedział mi o przygodzie w Australii. W mieście, które zwiedzał, znalazł się na ulicy, gdzie po obu stronach były sklepy z konfekcją należące, tak wynikało z szyldów, wyłącznie do Żydów: Kaufman, Goldenberg, Rosenberg itd. Aż nagle i to w dobrym miejscu znalazł się przed sklepem, gdzie szyld głosił ogromnymi literami: „Konfekcja męska – Krzysztof Skrzetuski”. Zdziwiony wszedł do środka i zapytał p. Skrzetuskiego:

- Jak Pan tu może funkcjonować, przecież „oni” mogliby pana łatwo zlikwidować?
- Jest dokładnie wprost przeciwnie, odparł p. Skrzetuski, to oni mnie ten sklep kupili i pomagają prowadzić.
- Dlaczego? – zdziwił się L.W.
- Proste – odpowiedział p. Skrzetuski. Im to na rękę: kiedy bowiem ktoś powiada, że cała konfekcja jest w rękach Żydów, pada odpowiedź: a Skrzetuski? [...]

Leopold Unger, Widziane z Brukseli: Krzysztof Reagan czy Ronald Skrzetuski, Kultura (Paryż) nr 7-8 (490-491), lipiec-sierpień 1988.

opr.:
MARIUSZ KUBIK
kmarius@onet.pl

Więcej recenzji już wkrótce na stronie internetowej:
<http://www.wolanowski.com>



Mama-San jest kasjerką. Towar na łodzi wabi klientów w porcie Hongkong



Wielkie rzeki niosły swe wody od niepamiętnych czasów



Listonosz w krainie „Nigdy-Nigdy” – na ogromnych odległościach australijskich pustyń pocztę zrzuca się w workach z samolotu



Hongkong, chińska wioska rybacka stała się brytyjską kolonią koronną...

Reporter pochyla się nad przeszłością

Nie wszyscy byli aniołami

(Dziennik dziennikarza)

LUCJAN WOLANOWSKI

Nie, nie! To nie było tak, że zjawiłem się w redakcji i szef błagał mnie, abym zgodził się jechać na Hawaje. Nie było też mowy o wyprawie *express*em Canadian Pacific z Montrealu do Vancouver. Była natomiast zupa. Jej zapach wślizgiwał się ze stołówki do poczekalni, gdzie siedziałem nieświadomy mego losu. O obiedzie nie ma mowy, ale jak zostaną przyjęty do pracy – powiedziano mi na wstępie – to dostanę talerz zupy.

Był rok 1945, byłem głodny i obdarty. Warszawa leżała w gruzach, także i dom gdzie mieszkałem. Łódź była jakby tymczasową stolicą kraju, tam mieściły się wtedy redakcje i w centrali Polpressu, który później zmienił nazwę na PAP – starałem się o pracę. Ale nie było pracy, nie było zupy. Szef działał, dziś jeszcze ważna persona, odsunął z obrzydzeniem moją ankietę personalną i bez czułości powiedział: „Gdybyśmy AKowcami zaśmiecali redakcję, to byśmy daleko nie zaszli...”

Wróciłem do Warszawy. Podróż na dachu wagonu w bardzo mroźną noc. Pociąg zatrzymywał się na każdej stacyjce, ustawiano go na bocznych torach, aby przepuścić transporty wojskowe. Trzeba było uważać, aby nie zasnąć na dachu; ci, których morzył sen, spadali pod koła. Towarzystwo było bardzo międzynarodowe. Koło mnie usadowił się wyzwolony z niewoli Belg, trawiony gorączką. Wojna jeszcze trwała, ktoś mu powiedział, że trzeba dostać się do Odessy, gdzie alianckie statki dowożą broń i amunicję dla ZSRR a potem zabierają wyzwolonych jeńców do domu. Ciągłe się mnie pytał, czy do Odessy jeszcze daleko...

Drugie podejście do pracy wykonałem już w Warszawie, na Pradze, gdzie mieścił się oddział agencji. Wtedy naprawdę szukano ludzi na ulicy, przeszedłem okres próbny i zostałem na kilka lat anonimowej, agencyjnej roboty.

Nie będę rozczulał się nad sobą, ale początki były bardzo trudne. Dojeżdżałem o świcie kolejką podmiejską niemal do granicy miasta. Potem w ciężkich, gumowych buciorach jakie znalazłem na jakimś śmietniku – szedłem między ruinami na drugi brzeg Wisły, mostem pontonowym. Szef dawał mi jakieś zlecenia, znowu dreptałem między gruzami, aby ustalić, jak jest zaawansowana odbudowa gazowni czy co słychać w parowozowni. Miałem wtedy mnóstwo energii, łatwo ładowałem akumulatory, mogłem niemal spać na stojąco jak koń. Ale gdy nie zdążyłem na ostatni pociąg, to wracałem do redakcji i spałem na biurku.

To była ciężka szkoła. Razem ze mną zaczynał ją Ludwik Jerzy Kern, nim odjechał do Krakowa do „Przekroju”, mieliśmy przyjacielskie stosunki, po dziś dzień, ale wtedy zazdrościłem mu, bo mieszkał w hotelu. Był tam też Antoni Marianowicz, który objął później placówkę w Brukseli. Edmund Osmańczyk przebywał najpierw przez długie miesiące w Niemczech, potem osiadł w Szczecinie. Minęły lata, nim dostałem od niego *Osmana*, czyli jego osobistą nagrodę za najlepszy reportaż roku. Podobało mu się *Zwierciadło bogini. Reporter w kraju tranzystorów i gejsz*.

Trudno mi ocenić, jak dalece sytuacja w tej redakcji była odzwierciedleniem ogólnego stanu dziennikarstwa w tych trudnych, powojennych latach. Ale nie popełnię chyba błędu – a reprezentuję tu tylko me własne poglądy – gdy rozróżnię niejako trzy kategorie zatrudnionych w redakcjach. Pierwsza – to zawodowi dziennikarze, którzy ocalili z pożogi wojennej i zdecydowali się podjąć pracę w zawodzie. Byli to niemal wyłącznie mężczyźni, w wieku średnim czy niemal przedemerytalnym. Byli wysoce kwalifikowani, ale kwalifikacje te... utrudniały im pracę. Przyzwyczajeni do okrągłych zdań z komunikatów przedwojennego PAT – źle się czuli w narzuconym im stylu bizantyjskiego zachwyty nad wszystkim, co się działo. Co miał do powiedzenia specjalista analizy rynku giełdowego w kraju, gdzie nie było prawdziwej giełdy? Pamiętam, jak krzywił się poliglota, który miał przełożyć na polski notę dyplomatyczną, przekazaną przez TASS, gdzie były epitety w rodzaju „wściekły pies łańcuchowy imperializmu” czy coś w tym guście.

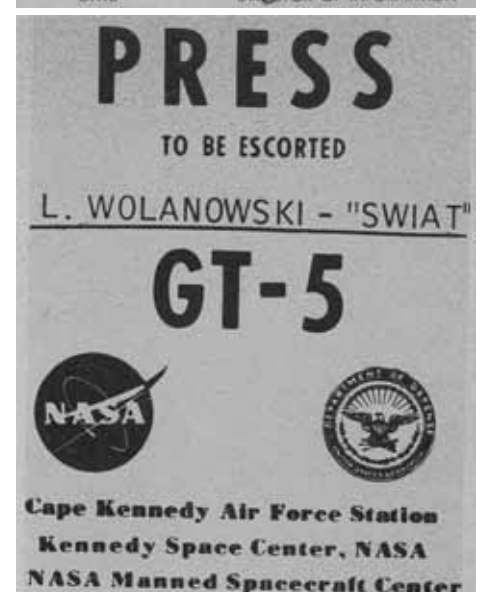
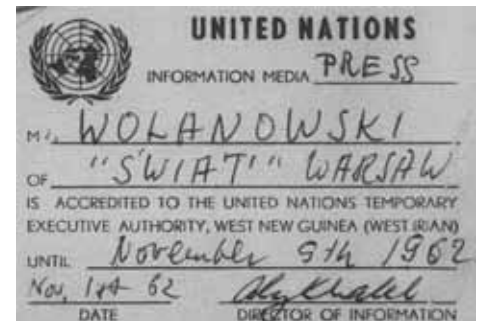
Inną grupę stanowili ideowi komuniści, których wiedza dziennikarska była żadna, ale mieli czuwać nad poprawnością opracowywanych tekstów. Na pewno było w tym trochę przesady, ale po latach zwierzał mi się redaktor Wadías, sekretarz redakcji „Głosu Ludu”, centralnego organu PPR: „Panie Lucjanie, to była katorżnicza robota. Tam nikt nie umiał pisać dobrze po polsku. No bo niby skąd? Połowa zespołu pisała w domu cyrylicą a połowa – od prawej do lewej...”

Wreszcie trzecia grupa, to zupełnie młodzi amatorzy, tacy jak ja, którzy byli rzućni na szeroką wodę i których nikt niczego nie nauczył. Pamiętam, jak kazano mi iść na posiedzenie Sądu Specjalnego. Tam rozpatrywano wtedy przede wszystkim sprawy o kolaborację. Wyroki były surowe lub bardzo surowe, egzekucje skazanych wykonywali niekiedy amatorzy, szukający

zemsty za swe krzywdy. Opowiadano mi, że młoda dziewczyna, której udowodniono współpracę z gestapo – konała na stryczku przez kwadrans, powieszona przez niefachowego kata-amatora...

Ja na ławie prasowej siedziałem jak na tu-reckim kazaniu. Wywoływano kolejne sprawy, przemawiał prokurator i obrońcy. Starszy kolega z warszawskiej popołudniówki znał nazwiska wszystkich aktorów dramatu na sądowej sali, wiedział co zarzucano podsądnym i znał nawet ich wiek... W pokornym pokłonie zapytałem, skąd on to wszystko wie. „Mnie moja redakcja płaci za to, abym ja to wiedział” – odparł trochę kpiąco. Prawda była nader prosta. W kancelarii sądu pokazano mu akt oskarżenia, zrobił notatki i tylko czekał jak się sprawa potoczy, no i jaki będzie wyrok.

Czaiłem się przez wiele lat z moją krzywdą. W roku 1956, gdy nastąpiła odwilż, zgłosił się do mnie kolega z Krakowa. Tamtejsza cenzura „zdejmuje” wiadomości o wielokrotnym mor-



Legitymacje prasowe

dercy. Mnie krakowska cenzura mało obchodziła, wszcząłem własne śledztwo i tak powstał cykl „Gdzie Mazurkiewicz – tam śmierć” który był – na owe czasy – sensacją i podniósł nakład gazety.

Zjawił się u mnie zziębnięty reporter sądowy z czasów mego debiutu. Miał przykrości w redakcji, że dał się ubiec w tak sensacyjnej sprawie. „Skąd pan to wszystko wie?” – zapytał.

– „Mnie redakcja płaci za to, abym ja to wszystko wiedział”.

Przypomniał sobie ten incydent sprzed 9 lat, byliśmy kwita, podaliśmy sobie ręce i zostaliśmy przyjaciółmi.

Nigdy bym nie przypuszczał, że stanę się transmisją dziennikarskiej anegdoty z XIX wieku aż za próg XXI stulecia. Ale tak się stało. Pamiętam zasłyszane wtedy, gdy byłem młodocianym adeptem zawodu – anegdoty, opowiadane przez sędziwych już weteranów dziennikarstwa. Prof. Józef Wasowski, w podeszłym już wieku, wspominał, że za czasów jego młodości były modne tzw. „szkice”. Szkic to był ni pies ni wydra, ani literatura faktu ani beletrystyka. On sam, mając 18 lat, popełnił taki „szkic” i pełen najlepszych nadziei zaniósł go do redakcji. Była to łzawa opowieść o prostytutce, której ciało co noc jest brukane przez kolejnych klientów, ale dusza jej pozostała czysta, wędruje po Giewoncie i wita brzask nad górskim strumieniem...

Gdy po tygodniu zjawił się po ocenę swego utworu, sekretarz redakcji popatrzył nań bystro i zapytał:

– Młody człowieku, czy pan był kiedyś w burdelu?

– Ja? Ale skąd, nigdy nie byłem...

– To niech pan tam szybko idzie, bo to zupełnie inaczej wygląda!

Taka była istota zasady, że prawda jest rzeczą świętą, ale komentarz jest dowolny.

Inny senior zawodu, pracujący ze mną w jednej redakcji, wspominał, że przez wiele lat przed wojną zatrudnił się w popołudniówce, której egzemplarz kosztował 5 groszy. Tak, były takie gazety, walka na rynku prasy była zażarta. Liczyła się cena, liczyły się sensacyjne wiadomości własne, które as reportażu Egon Erwin Kisch („Schreibt es auf, Kisch! – Napisz to, Kisch!”) określał mianem „karpia solo”.

Otóż redaktor prowadzący w tej gazecie zjawił się w pracy o godzinie 18.00 i zostawał do zamknięcia numeru. O godzinie 18.30 przychodziła pomoc domowa z jego mieszkania, która przynosiła mu w menażkach gorącą kolację i czekała na krzeselku na korytarzu, aby zabrać

puste menażki do domu. Czy nie mógł zjeść kolacji w zaciszu domowym o pół godziny czy godzinę wcześniej? Nie, wtedy mu nie smakowało... W każdym razie było wiadomo, że gdy spożywa posiłek – musi mieć spokój, którego nie wolno było zakłócać.

A jednak pewnego wieczoru wpadła do jego gabinetu praktykantka panna Jadzia, z okrzykiem – Ważne sprostowanie PAT! Redaktor ze złością odsunął od siebie talerz i powiedział: „Koleżanko, czy pani nie uczono w szkole dziennikarskiej, że pies gdy sra to nie szczeka...”

Słuchałem opowieści o straszliwych gafach, które zapewne brały się ze skostnienia i rutyny, tych plag dziennikarstwa. Przykładem słynny komunikat PAT: Prezydent RP prof. dr Ignacy Mościcki b a w i ł w Krakowie na pogrzebie Marszałka Piłsudskiego.

* * *

Tytuł tego tekstu jest zapożyczony, czyli ściągnięty z książki Josepha Kessela. To był as reportażu, jedyny reporter, który został członkiem Akademii Francuskiej. Dawno już nie ma go między nami. Był w podeszłym wieku, gdy miałem zaszczyt poznać go w Genewie, gdzie obaj szykowaliśmy się do wyprawy na reporterskie łowy z ramienia Światowej Organizacji Zdrowia. On – do Indii, ja – na najdalszy Daleki Wschód. Jego dzieła są u nas – jak sądzę – mało znane. Pisał po francusku, nie widziałem tu jego przekładów. Ale gdy może ujrzycie w TV dawno już nakręcony film „Noc generałów” – wiedźcie, że to on napisał scenariusz.

Temat leżał na ulicy, ale trzeba go było podnieść... Mroczna noc okupacji, Warszawa. W swym mieszkaniu zostaje zamordowana prostytutka. Sąsiedzi słyszą krzyki dziewczyny, jeden z nich widzi przez dziurkę od klucza tylko tyle, że zbiegający ze schodów mężczyzna ma spodnie z amarantowymi lampasami... To w Wehrmachcie przysługiwało tylko generałom. W owym czasie w Warszawie jest ich dwóch... Który zabił?

Wiodłem nieciekawą żywot miejskiego sprawozdawcy w agencji prasowej.

Szef pewnego dnia wyczytał w mej ankiecie personalnej, że znam języki obce. Miałem uczestniczyć w konferencjach dla dziennikarzy zagranicznych, które były prowadzone z pominięciem języka polskiego. Była to zmiana losu, gdyż przed tym przeważnie biegałem na różne uroczyste akademie, które miały usypiając

przebieg lub też śledziłem przebieg konferencji i zjazdów, gdzie teksty przemówień były znane na tydzień wcześniej, tak samo zresztą jak i kolejność mówców...

W ten sposób wszedłem w barwny powojenny światek korespondentów zagranicznych akredytowanych w Warszawie. Miasto było jeszcze wielką ruiną, całe to towarzystwo gnieździło się w ocalałym z pożogi Hotelu Polonia. Konferencje odbywały się w MSZ, prowadzone tylko w dwóch czy trzech językach obcych.

W owych powojennych latach w Warszawie akredytowani byli dziennikarze, którzy zostali luminarzami zawodu. Warszawa była jakby przedsiódkiem do dalszej kariery. Sydney Gruson, Flora Lewis, Rosenthal, Murrow – gdy wrócili do Stanów, to na znaczące, opiniotwórcze stanowiska. Naturalnie, za Żelazną Kurtynę nie wysyłano wtedy pętałów, ale nadzieje, jakie pokładały w nich ich redakcje – zostały spełnione. Larry Allen, Vincent Buist czy Pierre Maréchal jako dziennikarze agencji też znali świetnie swe rzemiosło. I nie tylko. Buist do końca swych dni był wielkim autorytetem w sprawach tej części Europy. Immanuel Birnbaum ze „Svenska Dagbladet” dawał sobie radę nie tylko z językiem polskim... Gdy prowadzący konferencję powiadomił, że powódź przerwała linię kolejową na północny Polski, ale nie umiał zlokalizować miejsca, Szwed zaofiarował mu swoją pomoc, wymieniając z pamięci po kolei wszystkie stacje kolejowe na całym szlaku Bydgoszcz – Gdynia.

Ed Murrow, o którym powstał właśnie film pt.: „Good Night, and Good Luck” George’a Clooneya, a który na wojnie leżał w szpitalu z rannymi Polakami i znał nieźle nasz język, dokuczał mi, gdy „Przekrój” zaczął drukować mój cykl „Teraz to już można opowiedzieć” i inne reportaże: „Lucjan, jak ja czytam to, co ty piszesz, to rozumiem, jak ty byś pisał, gdybyś sam wierzył w to, co piszesz...” Pożyczył mi amerykańskie podręczniki i zbiory reportaży.

Z wypiekami na policzkach czytałem, jak Jack Lait i Lee Mortimer („Urodziliśmy się tylko po to, aby opowiedzieć wam tę sensacyjną historię”) opisywali zastrzelenie przez policję słynnego gangstera Johna Dillingera: „John Dillinger dostał swoje dziś na 42 ulicy. Był sprytny i przebiegły, ale federalna policja nigdy nie chybia, gdy ma upatrzony cel...” Ładne, prawda? Ale – jak mawiał mój dziadek – Lucjan, nie musisz im koniecznie wierzyć. Minęły lata. Gdy byłem na stypendium



David Strathairn w roli Eda Murrowa, kadr z filmu „Good Night and Good Luck!” (2005)



w USA, przysiadłem fałd w „kostnicy” – jak tam się zwie archiwum redakcyjne – wielkiej gazety. Otóż sprawa wyglądała tak, że gangster nie rozstawał się z dwoma nabitymi pistoletami wielkiego kalibru. Groziła mu kara śmierci, więc nie miał nic do stracenia i można było obawiać się jatki przy aresztowaniu. Ustalono, że jest bywalcem domu publicznego, należącego do pewnej Rumunki. Madame miała odwiedziny dwóch oficerów policji, którzy namówili ją do współpracy. Argumenty były nie do odrzucenia: gdyby miała jakieś opory czy wahania, to – tu odczytano odpowiednie przepisy – zostanie odstawiona do portu i załadowana na pierwszy statek, jaki odpływa do Europy. Naturalnie bez prawa powrotu. Reszta była już rutyną. Gdy gangster wychodził z przybytku uciech, otoczyli go dyskretnie policjanci w cywilu. Jeden z nich zaszedł go od tyłu, poklepał go po ramieniu i powiedział: „Hallo, John!”, a gdy gangster się odwrócił, policjant wpakował mu serię kul prosto w serce.

Wspomniany już Vincent Buist z Reutersa, sympatyczny i pogodny Brytyjczyk, stał się bezwiednie bohaterem typowej dla tych czasów przygody. Zebrania zespołu PAP trwały zawsze po wiele, wiele godzin. Były to straszne nudy, nagle rozświetlone jak błyskawicą przez windziarza, który zapisał się do głosu. Nastawiliśmy uszu, gdy zapowiadał, że „nigdy nie zawieszę agenta imperializmu”. Na wykonanie zobowiązania nie trzeba było długo czekać. Szczegółów oczywiście nie znam, ale chyba była taka umowa między agencjami, że Reuter płacił w Londynie korespondentowi PAP, a w Warszawie – przedstawiciel Reutersa dostawał równowartość w złotych.

W każdym razie na widok Vincenta, który zjawił się po swe pobory, windziarz gwałtownie zatrzęsnał drzwiami swego pojazdu i stanął między piętrami. Rad nie rad Brytyjczyk ruszył do kasy stromymi schodami na wysokie piętro. Gdy taka sytuacja powtórzyła się po raz trzeci czy czwarty, zrobił sobie tylko kółko na czole i powiedział: „Wariat”.

Larry Allen z Associated Press, wysoki dryblas w mundurze amerykańskiego korespondenta wojennego – skorumpował warszawskie wyścigi konne, miał informacje niejako prosto z końskiego pyska. Interes się skończył, gdy w kolejce do kasy ustawiali się za nim inni hazardziści i zamawiali „To samo!”. Przyjechał do Warszawy już jako „żywa legenda”. Czy była prawdziwa? Raczej nie. Ale że czasy były ciekawe, sprzyjały dziwnym opowieściom, więc warto o tym wspomnieć.

Larry chodził po Warszawie w mundurze z oznakami amerykańskiego korespondenta wojennego. Faktem jest, że był na froncie Morza Północnego jeszcze wtedy, gdy Stany Zjednoczone nie były oficjalnie w stanie wojny z Niemcami, czyli jego sytuacja nie była jednoznaczna. Pokazywał mi piękną bransoletę z wygrawerowanym napisem: „Najlepsze korespondentowi – Królewska Flota”. Do tego miejsca wszystko się zgadza. Ale legenda głosiła, że gdy dostał się do niewoli – odmówił podania jakichkolwiek danych o sobie i zażądał, aby skontaktować go z marszał-

kiem Rommlem. Niemcy uznali, że to chyba ich tajny agent najwyższego wtajemniczenia. Kiedy stanął przed obliczem „Lisa pustyni” – uśmiechnął się przyjaźnie, poprawił swój przepocony w skwarze Afryki mundur i powiedział: „Jestem Larry Allen z AP i chciałem uzyskać wywiad z panem na prawach wyłączonej” Rommel był tym tupetem zdumiony, ale kazał odstawić go do obozu jeńców, gdzie Allen siedział już do końca wojny.

Otakar Martinek, Czech, poliglota. Byliśmy z innymi dziennikarzami akredytowanymi w Warszawie na ostatniej już chyba konferencji prasowej Jana Masaryka, ministra spraw zagranicznych Czechosłowacji, przed przejściem władzy przez zdalnie kierowany z Moskwy rząd. Wtedy w Warszawie ktoś zapytał ministra, dlaczego wybrał karierę dyplomatyczną. – Sam nie wiem – odpowiedział Masaryk. – Pewnie dlatego, że lubię kobiety i władam biegle kilkoma językami... Roześmieli się wszyscy. Spojrzałem na korespondentów TASS-a, „Prawdy” i „Izwestii”. Ich kamienne twarze wyróżniały się wśród powszechnej wesołości. Niedługo potem zwłoki Masaryka znaleziono w Pradze na dziedzińcu zamkowym. Zagadka jego zgonu nie jest wyjaśniona do dziś. Wypadek, czy morderstwo? Na zdjęciach sprzed pogrzebu kwiaty są tak ułożone, że zasłaniają prawą skroń nieboszczyka...

Pierre Maréchal, Francuz o tajemniczym uśmiechu. Dziś może bym uznał, że był to uśmiech zdziwienia czy zakłopotania wobec tego, co widział wokół siebie. Jego syn, Alain, urodził się we Francji, ale bliźnięta – obaj chłopcy – już w Polsce. Alain mówił ładną francuszczyzną, bliźniaki nie mówiły właściwie ani po polsku, ani po francusku. Mówiły kuchenną polszczyzną, nabytą pewnie od służby. Ich mama nie bardzo mogła zrozumieć, co chłopcy mieli do powiedzenia. Spotkałem rodzinę na Krupówkach w Zakopanem, spacerowaliśmy razem, gdy nagle jedno z bliźniąt przyhamowało:

– *Mamo, mama kupi pajaca!*

– *Tu dis, mon chou? (Co mówisz moja kapustko? – pieszczotliwa forma zwracania się do małych dzieci)*

– *Mama kupi pajaca!*

Nim zorientowałem się w sytuacji i pospieszyłem z przekładem, malec dostał po buzi – dość powszechna kara dla dzieci we Francji mej młodości – i ryknął płaczem, który słychać było chyba na Giewoncie. Myślałem, że przechodnie zlinczują surową mamę, ale udało się zatrzymać przejeżdżające sanie i ewakuować całą rodzinę do hotelu.

Pewien włoski znawca tematu, zastanawiając się nad istotą tego zawodu, powiedział, że „*lubi dziennikarzy już choćby tylko za to, że są jedynymi ludźmi, którzy biorąc pióro do ręki, nie myślą o nieśmiertelności...*” To pewnie jest bliskie prawdy, ale z drugiej strony historia opisywana z dnia na dzień jest kroniką wydarzeń, pisaną przez znanych lub anonimowych sprawozdawców.



Zlreną Dziedzic, popularną dziennikarką i prezenterką TV

Joseph Kessel, o którym już wspominałem, gdy rozmawialiśmy o tematach interesujących lub nudnych – zrobił ciekawe spostrzeżenie: „*Dla przeciętnego czytelnika wiadomość o tym, że stróżka z naszej kamienicy spadła ze schodów i skręciła nogę jest znacznie ciekawsza, niż doniesienie, że w Hongkongu przewrócił się prom i utonęło kilka set osób...*”

Edward Behr, przez długie lata korespondent dyplomatyczny wielkiego tygodnika amerykańskiego – wspomnienia swe zatytułował: „*Która z was została zgwałcona i zna angielski?*” Ten pozornie cyniczny okrzyk ma swoją historię. W czasie pamiętnych wydarzeń w Kongo motłoch zaczął gwałcić obecne w tej byłej belgijskiej kolonii europejskie kobiety.

Bruksela, lotnisko międzynarodowe. Właśnie wylądował samolot z ewakuowanymi ofiarami agresji. Między lekarzami, sanitariuszami i ofiarami uwija się z szaleństwem w oczach korespondent BBC. Londyn go zawiadamia, że zbliża się godzina dziennika wieczornego, a on nie przekazał jeszcze zapowiadanego reportażu o pokłosiu tragedii w Kongo...

Ta walka z czasem była szczególnie dramatyczna dla reporterów radiowych, gdy nie było jeszcze lekkich magnetofonów wysokiej jakości, ani też sprawnego systemu łączności między studium a sprawozdawcą. Nigdy nie pracowałem w radio, ale do legendy przeszła opowieść o dawno już nieżyjącym reporterze, który na pogrzebie wielkiego dostojnika przyciągnął za sobą mikrofon na ciężkim kablu, podszedł do wdowy stojącej przy trumnie i szepnął jej do ucha: „*Niech pani głośniej szlocha!*”

Wspominam tych ludzi, bo nauczyłem się od nich wiele. Jak dynamicznie zaczynać tekst, zaciekawiając czytelnika. Jak notować nie tylko słowa, ale i nastrój ważnej wypowiedzi.

Takie to były lata mojej amatorskiej nauki od zawodowców. Gdzie jesteście teraz, przyjaciele? W tym miejscu łąza zamiast kropki padła...

LUCJAN WOLANOWSKI

Powyższy tekst jest kompilacją kilku artykułów dotyczących pracy dziennikarskiej Lucjana Wolanowskiego, drukowanych w różnym czasie i miejscu. Został na nowo zredagowany i ujednolicony w październiku i listopadzie 2005 r., na potrzeby Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, stając się w ten sposób ostatnim tekstem przejrzanym i zaakceptowanym do ogłoszenia przez Autora. (Mariusz Kubik)

Lucjan Wolanowski we wspomnieniach przyjaciół

Nie umiałbym powiedzieć, co leżało u podstaw naszej przyjaźni – czy poczucie humoru Lucka, czy to, że się nigdy nie obrażał ani nie zaperzał. Na różne objawy głupoty bliźnich reagował albo sceptyczną zadumą albo gromkim wybuchem śmiechu. Nie spodziewał się od ludzi więcej niż dać mogli, ale z drugiej strony postępki czy cechę pozytywną dostrzegał

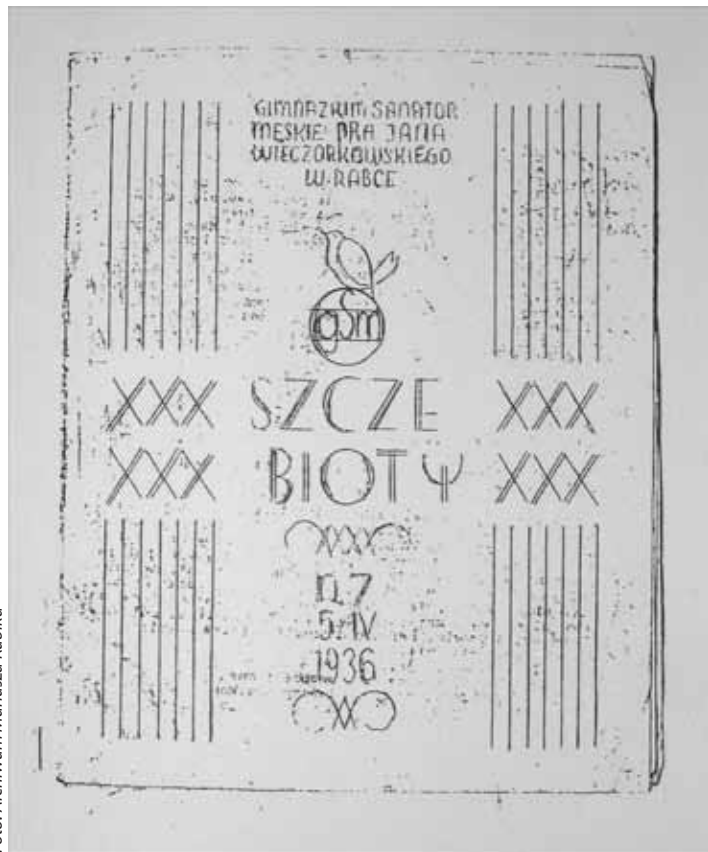


Foto: Archiwum Mariusza Kubika

Okładka zachowanego egzemplarza „Szczebiotów”

z przyjaznym uznaniem i pogodnie utrwał w nieźrównanej swej pamięci, najchętniej pod postacią anegdoty. Może też zbliżyło nas zamiłowanie do poezji, choć zapewne dosyć odmienne, bo w atmosferę góralsko-ziemiańską gimnazjum Wieczorkowskiego w Rabce Lucjan wnosił akcenty warszawskie, a istniejącym zapewne skłonnościom endekoidalnym łagodnie przeciwstawiał zamiłowanie do szmoncesu i do Tuwima, czym skutecznie nas zarażał. Słyszę, jak mówi:



Foto: Sophie Thun

Ostatnie spotkanie wigilijne przyjaciół, Warszawa, 24.12.2004



Foto: Archiwum L. Wolanowskiego

Gimnazjum Wieczorkowskiego w Rabce, lata 30-te XX w. Lucjan Wolanowski – drugi z prawej u góry; Jacek Woźniakowski – drugi z prawej u dołu

Profesor Otto Gottlieb Schmock
Pracuje już dziesiąty rok...

Nikt z nas nie wiedział jeszcze w tamtych latach trzydziestych, kim ma zostać, kiedy Lucjan postanowił już dawno: transkontynentalnym reporterem. I rzeczywiście!

JACEK WOŹNIAKOWSKI

Jacek Woźniakowski (ur. 1920) – prof. historyk sztuki, pisarz, publicysta, działacz społeczno-polityczny. Redaktor naczelny miesięcznika „Znak” (1957-1959)



Foto: M. Kubik

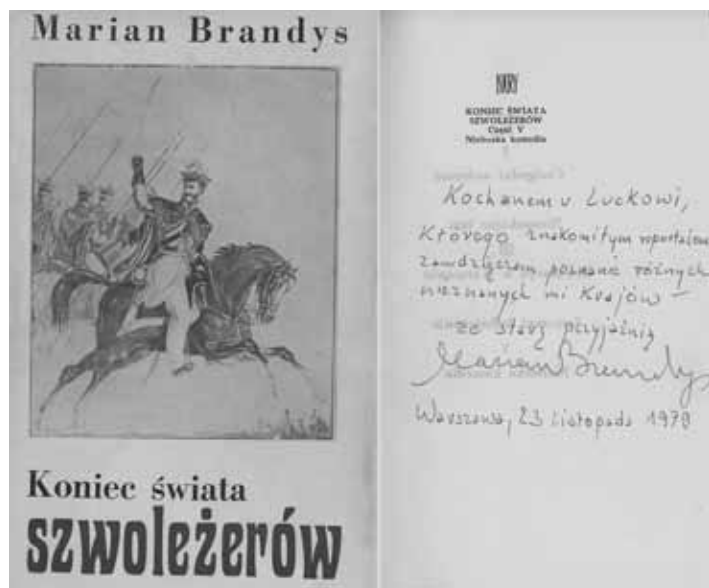
Prof. Jacek Woźniakowski nad wspólną fotografią, Kraków, marzec 2006.

i wydawnictwa „Znak” (od 1959). Współpracownik „Tygodnika Powszechnego”. Brał udział w obradach „Okrągłego Stołu” (1989). Prezydent Krakowa w latach 1990-1991. Autor wielu artykułów i książek z zakresu historii sztuki. Kolega gimnazjalny Lucjana Wolanowskiego w Gimnazjum Męskim Sanatoryjnym dra Jana Wieczorkowskiego w Rabce, wspólnie redagowali m.in. szkolne pismo „Szczębioty”.

Wspomnienie Jacka Woźniakowskiego o Gimnazjum w Rabce, w którym pada również nazwisko Lucjana Wolanowskiego, ukazało się także w najnowszym numerze „Zeszytów Literackich” (Jacek Woźniakowski, *Retro, Zeszyty Literackie* nr 93, wiosna 2006, str. 142-144) [Mariusz Kubik]

* * *

Chociaż byliśmy w tym samym gimnazjum im. Mikołaja Reja, Wolanowskiego wtedy nie znałem. Był o trzy klasy niżej niż ja i po pewnym czasie przeniósł się do gimnazjum w Rabce, które ukończył. Poznałem go za to jako twórcę wspaniałych reportaży o wielu miejscach na świecie. Jego spostrzeżenia o krajach, ludziach, obyczajach, mogłyby służyć jako najwyższej klasy przewodnik turystyczny. Do Australii, na przykład, przyjechałem po raz pierwszy po przeczytaniu książki Wolanowskiego *Pocztą do Nigdy – Nigdy*. Umożliwiła mi ona lepsze poznanie tego egzotycznego miejsca.



Poznanie nowego kraju należy rozpocząć od przestudiowania jego historii i tu książka *Ani diabeł, ani głęбина* umożliwia wnikliwe poznanie dziejów Australii, zwłaszcza za czasów jej odkrywcę – Jamesa Cooka, który przyczynił się również do panowania brytyjskiego nad wyspą. Poznałem tam wielu ludzi, bohaterów książek Lucjana, którzy stali się później jego przyjaciółmi. Zauroczył ich swoją wnikliwą znajomością charakteru człowieka. Im też powierzył swoją jedyną córkę, którą wysłał do Australii z Polski zaraz po maturze. List, który od niego wtedy otrzymałem, w dzień lub dwa po jej wyjeździe, nie dotyczył chorób ani trudów związanych z podróżą. Był krzykiem rozpaczyny ojca, który przewidywał (i słusznie), że córka już nigdy do Polski nie wróci. Ale Lucjan nie widział dla niej przyszłości w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Dzięki książkom Wolanowskiego „podróżowałem” przez wiele nieznanymi mi krain i przeżywałem wspaniałe przygody. Żeglowałem z nim przez „Ocean nie bardzo Spokojny” [Tytuł jednej z książek Wolanowskiego. M.K.] zwiadałem Tahiti, Nową Zelandię, Fidżi, Hongkong. Kiedy później zwiadałem te kraje, znowu uderzyła mnie jego niezwykła trafność opisu, nie tylko kraju, ale przede wszystkim jego mieszkańców.

Przeczytałem dwa albo trzy raporty o buncie na statku „Bounty”, ale nic nie równało się z książką Wolanowskiego *Buntownicy Mórz Południowych*. Czytając ją, można dopiero ocenić, jak świetnym jest pisarzem. Nie mogłem się oderwać od śledzenia losów kapitana Bligha i buntownika Fletchera Christiana. W Hongkongu byłem trzy lub cztery razy. Za każdym razem odkrywałem inne cechy tego miasta, wędrując z książką Lucjana *Westchnienie za Lapu – Lapu*.

Kiedy jako doradca Biura Informacji Światowej Organizacji Zdrowia WHO, Wolanowski wybrał się, po raz nie wiem który, w podróż po południo-



Z Różą Woźniakowską – Thun i Franzen Thunem. Ambasada Francji, Warszawa, 7.09.2004

Foto: M. Kubik

wo – wschodniej Azji, jego reportaże miały inny ton, niż te wcześniejsze, podróżnicze. Tym razem nie tylko sami ludzie, ale również choroby, epidemie, służba zdrowia były przedmiotem jego zainteresowań. Toczyliśmy długie rozmowy dotyczące naszych wspólnych pasji. Podziwiałem wnikliwość Wolanowskiego, poruszającego tematy z pediatrii i innych specjalności medycznych.

Drogi Lucjanie,

Jakiś dobry biograf powinien opisać Ciebie, takim, jakim naprawdę byłeś: obywatel świata i doskonałym pisarzem.

Ja mogę tylko skromnie poświęcić Tobie tych parę słów, które tutaj skreśliłem, jako twój dłużnik, za wspaniałe momenty naszej przyjaźni.

Pełen podziwu dla Ciebie,

HILARY KOPROWSKI

Hilary Koprowski (ur. 1916) – prof., wirusolog, twórca pierwszej szczepionki przeciwko wirusowi polio wywołującemu chorobę Heine-Medina. W 1959 roku zorganizował akcję przekazania Polsce 9 milionów dawek tej szczepionki, dzięki czemu liczba zachorowań zmniejszyła się z ponad tysiąca w 1959 roku do 30 w 1963. Od lat żyje w USA, opublikował 850 prac naukowych, przez wiele lat kierował Instytutem Wistara w Filadelfii. Założyciel Fundacji „Koprowski”, którego zadaniem jest wspieranie współpracy naukowej polsko-amerykańskiej. Autor książki p.t.: *Wygrać każdy dzień* (we współpracy z Agatą Tuszyńską; Warszawa 1996).

* * *

Moje wspomnienia o Lucjanie dotyczą kilku różnych okresów naszego życia. Najwcześniejsze wiąże się z Gimnazjum im. Mikołaja Reja, gdzie uczęszczał do jednej klasy z moim bratem Genkiem i był trzy klasy niżej od mojego przyszłego męża Hilarego. Znałem go tylko z ich opowiadań. Podobno często bywał nieobecny na zajęciach, co miało chyba związek z chorobą jego matki.

Osobiście poznałem Lucjana po wojnie, kiedy mieszkałam już w Stanach Zjednoczonych. Było to podczas jednej z moich wizyt w kraju, na kolacji u Joanny Makólskiej, jego dobrej znajomej, a kuzynki Hilarego. Dowiedziałam się wtedy, że ma dorosłą córkę w Australii oraz dwie dużo starsze od siebie siostry, które go wychowywały po wczesnej utracie rodziców. Kiedy w 1970 roku byłam z Hilarym w Australii na konferencji naukowej, odwiedziliśmy jego córkę, która jest farmaceutką. W czasie tej podróży przeczytałam po raz pierwszy jedną z wielu książek Lucjana, słynne *Upał i gorączka*.

Ze względu na stałą współpracę Hilarego z kilkoma instytucjami naukowymi w Polsce, odwiedza on regularnie kraj i od czasu do czasu też mu towarzyszę. Zawsze odwiedzaliśmy wtedy Joannę i zwykle spotykaliśmy wtedy u niej Lucjana. To był bardzo interesujący człowiek. Utalentowany pisarz, ale pesymista, głównie, jeśli chodzi o przyszłość Polski. Mimo, że miał poczucie humoru, nigdy nie widziałam uśmiechu na jego twarzy, ani nie słyszałam, jak głośno się śmieje.

On i Genek regularnie korespondowali. Lucjan cieszył się z naszych wizyt w Warszawie, gdyż stanowiły one dodatkowy łącznik z jego dawnym kolegą

SURVIVORS OF THE SHOAH
VISUAL HISTORY FOUNDATION

16 stycznia 1996

Lucjan Wolanowski
23 Odolanska m9
Warsaw, 02-562
Poland

Szanowny Panie Wolanowski,

Dzieląc się świadectwem swych przeżyć z okresu Holocaustu, ofiarował Pan przyszłym pokoleniom możliwość osobistego kontaktu z historią.

Pana wywiad będzie troskliwie przechowany w największym w historii zbiorze poświęconemu tej tematyce. W odległej przyszłości kolejne generacje będą mogły, zwracając się ku tym relacjom, widzieć twarze, słyszeć głosy, uczyć się i na zawsze zapamiętać.

Dziękuję Panu za ten bezcenny wkład, siłę i szczodroliwość ducha.

Z serdecznymi pozdrowieniami,

Steven Spielberg
Prezes Fundacji

P.O. Box 3168 · LOS ANGELES · CALIFORNIA · 90078 · (818) 777-4673

List od Stevena Spielberga (1996 r.)

szkolnym. W ostatnim czasie nie miał już samochodu – miał za to swojego stałego taksówkarza, z którego usług, za jego radą, również i my korzystaliśmy. Cieszyły nas nasze z nim spotkania i rozmowy. Z przyjemnością myśleliśmy o każdej następnej.

IRENA KOPROWSKA

Irena Koprowska, z domu Grasberg (ur. 1917) – emerytowany profesor patologii, dyrektor wydziału cytologii Uniwersytetu Temple, Centrum Naukowym Zdrowia w Filadelfii. Konsultant WHO w dziedzinie cytodiagnosticsy. Członek i konsultant Panamerican Health Organisation. 130 opublikowanych prac. W 1985 r. otrzymała od American Society of Cytology nagrodę Papanicolaou. W 1998 roku nakładem „Wydawnictwa Poznańskiego” ukazały się jej wspomnienia pt.: *O moim życiu i medycynie*.

* * *

Wczesny talent

Dla czytelników licznych utworów Lucjana Wolanowskiego nie są potrzebne dowody jakości jego prozy. Słowa świadczą za siebie. Warto



Pisarz w latach młodości (fotografie z 1935 i 1942 roku)

jednak wspomnieć o pewnych wczesnych dowodach jego uzdolnień w tym kierunku.

W latach trzydziestych ubiegłego stulecia byliśmy razem w tej samej wczesnej klasie Gimnazjum im. Mikołaja Reja w Warszawie. Połowa budynków naszej szkoły, którą oszczędziły bomby II Wojny Światowej i zdławienie Powstania Warszawskiego, stoi nadal na Placu Małachowskiego, w dość skomplikowanym położeniu, między ulicami Królewską, Mazowiecką i Kredytową.

Naszym nauczycielem języka polskiego był Waław Kloss, starszy już wówczas jegomość, o bardzo tradycyjnym nastawieniu. Kiedyś, jako temat wypracowania domowego podał nam tytuł: „Moja droga do szkoły”. Nie był to zbyt trudny temat, więc większość z nas wyprodukowała dość szablonowe wypociny, bez specjalnych wlotów wyobraźni.

Lucek był jednak w kłopotcie. Mieszkał przy ulicy Królewskiej, w domu na parterze którego, o ile pamiętam, był ulokowany znany sklep musztardy Szwajcera, niewiele dalej niż jakieś sto kroków, minutę lub dwie od wejścia do szkoły („around the corner”, jakbyśmy dziś powiedzieli w Ameryce). Rozwiązał swą trudność w sposób znakomity i błyskotliwy: zaczął od stwierdzenia, jak blisko mieszka, jak trudno powiedzieć wiele o jego drodze i poświęcił resztę wypracowania na opis osób, które codziennie spotyka na tej króciutkiej trasie: sprzedawcę gazet, pracownika biurowego spieszącego na ósmą, etc., etc. Naszkicował charakterystykę i zachowanie osób, które szły do pracy, starały się nadrobić opóźnienie, lub przygotowywały się do zaczącia dnia - w tak interesujący sposób, że czytelnik miał rzeczywiście uczucie, że był świadkiem rzeczywistości. Profesor Kloss wezwał Lucka na podium, do przeczytania na głos swej pracy dla całej klasy.

Błyskotliwa kariera literacka była więc zapoczątkowana.

EUGENE GRASBERG

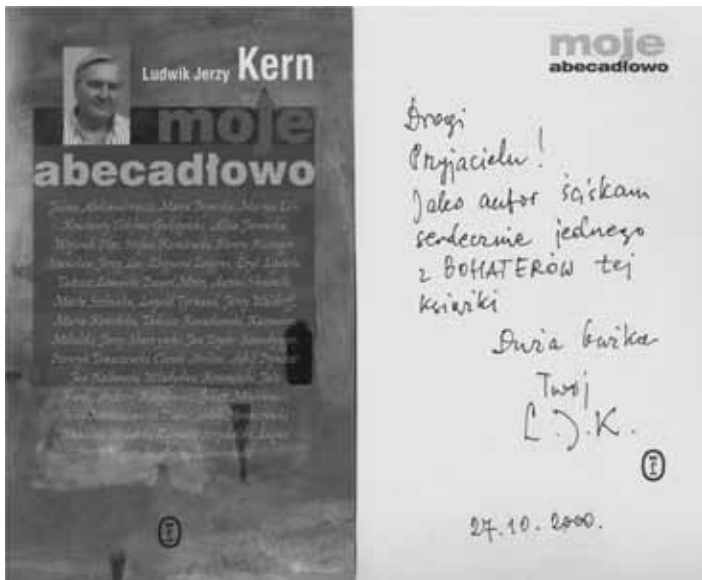
Eugene (Eugeniusz) Grasberg (ur. 1920) – brat Ireny Koprowskiej, ekonomista. Doktoryzował się na McGill University, następnie, jako docent, wykładał na najstarszym kanadyjskim uniwersytecie New Brunswick, Fredericton. Doradca ekonomiczny z ramienia rządu USA na Haiti, w czasach prezydentury François „Papa Doc” Duvaliera.

* * *

Poznaliśmy się w pierwszych tygodniach po wojnie jako pracownicy redakcyjni Agencji Prasowej, noszącej wówczas nazwę Polpress, który to Polpress zmienił się wkrótce potem w PAP. On zajmował się reporterką miejscową, ja zaś tkwiłem w dość nieatrakcyjnym dziale rolnym. Obsługiwałem jakieś zebranka przedsiwne czy poplonne na szczeblu najwyższej wojewódzkim. Melancholijne nieco zajęcie. Po cichu trochę mu zazdrościłem. Pojechałem w końcu do Krakowa, a on został w Warszawie. Odtąd spotykaliśmy się stale na łamach „Przekroju”. Jego reportaże krajowe powoli zmieniały się w reportaże zagraniczne, i to z coraz dalszych i bardziej atrakcyjnych miejsc. Pisał niezwykle interesująco i z rzadkim u reportażystów poczuciem



Ludwik Jerzy Kern ze swoim tekstem o L. Wolanowskim, drukowanym w „Przekroju” – Kraków, marzec 2006 r.



Dedykacja dla Lucjana Wolanowskiego

humoru. Zbierał i zbiera dowcipy i anegdoty, gdzie się tylko da i, co ważne, lubi je opowiadać, a co jeszcze ważniejsze – opowiada je pierwszorzędnie. Z tych reportaży powstał cały szereg książek. Książki były tłumaczone na obce języki, co oznaczało, że Wolanowski ma rozrzuconych po świecie swoich tłumaczy.

Tu jest miejsce, żeby wspomnieć o tym, jak Wolanowski przy pomocy swojej córki wtargnął w moje życie finansowe. A było tak: kiedy ukazało się pierwsze wydanie *Ferdynanda Wspaniałego*, panna Wolanowska była debiutującą nastolatką, tzn. miała jakieś 10 lat. Natychmiast posłałem jej egzemplarz z odpowiednią dedykacją. Ale, że były to jeszcze ponure czasy panoszenia się cenzury, pierwszy zapewne przeczytał książkę cenzor, tata Wolanowski. Musiała mu się spodobać, ponieważ polecił ją zaraz swemu węgierskiemu tłumaczowi Istvanowi Meszárosowi. Temu też widocznie przypadła do gustu, bo z miejsca zaczął ją tłumaczyć. W ten sposób, dzięki panie Wolanowskiej zaczęła się międzynarodowa kariera *Ferdynanda*.

Lucjan był w nieustannych podróżach, miał światowe obycie i ogromny zasób doświadczeń. Kiedy wybierałem się w półroczną podróż na Daleki Wschód, udzielił mi bezcennych rad. Dzięki niemu, na przykład, przywiozłem moje filmy z podróży w idealnym stanie. W tropikach, jak wiadomo, jest wilgotno, a największym wrogiem taśmy filmowej jest właśnie wilgoć. Żeby więc wilgoć tym taśmom filmowym niczego złego nie zrobiła, trzeba te filmy zapakować w szczelne blaszane pudełko. A do tego pudełka trzeba jeszcze wsadzić... No co? Woreczek z surowym ryżem. Ryż wchłonie każdą odrobinę wilgoci. Ale o tym mało kto wie...

Wolanowski jest również odpowiedzialny za najtrudniejszy obiad w moim życiu. On się tego nawet nie domyśla. Miałem ci ja bowiem zobaczyć Singapur. Czterdzieści lat temu to była pełna egzotyka. Bo teraz wsiada się dziś w samolot w Balicach, a pojutrze, także w Balicach, ląduje z walizkami pełnymi singapurskich majtek. Ja podążałem do Singapuru statkiem, a w tym egzotycznym kraju nikogo nie znałem. Lucjan jednak miał tam chody i załatwił mi list polecający od swojego przyjaciela, warszawskiego lekarza, który przemieszkał w Singapurze pół życia. List był do mister Kuoka, wielkiego hurtownika towarów spożywczych. Przekazałem go adresatowi i Singapur jak Sezam otworzył się szeroko przede mną. Doszło do tego, że mister Kuok postanowił uhonorować mnie prawdziwym chińskim obiadem w prawdziwej chińskiej restauracji, najlepszej według niego w Singapurze. Prócz niego rolę gospodarzy pełniło jeszcze dwóch jego braci. Ja jestem zacołaniec i nie przepadam za tymi wszystkimi owocami mórz, oceanów, stawków i sadzawek, którymi naszpikowane jest chińskie jadalno. Nie wiem, jak się do tego zabrać, a pałeczki według mnie dobre są do grania na bębnie, a nie do jedzenia.

Restauracja przypominała szopę w starej cegielni. Kucharze, kucając na podłodze, tasakami siekali wszystko na drobne kawałeczki, zaparziali wrzątkiem i od razu... na stół. Stoły miały grube kamienne blaty, wokół panował półmrok. Każdy z moich trzech gospodarzy z każdego dania wybierał naj-

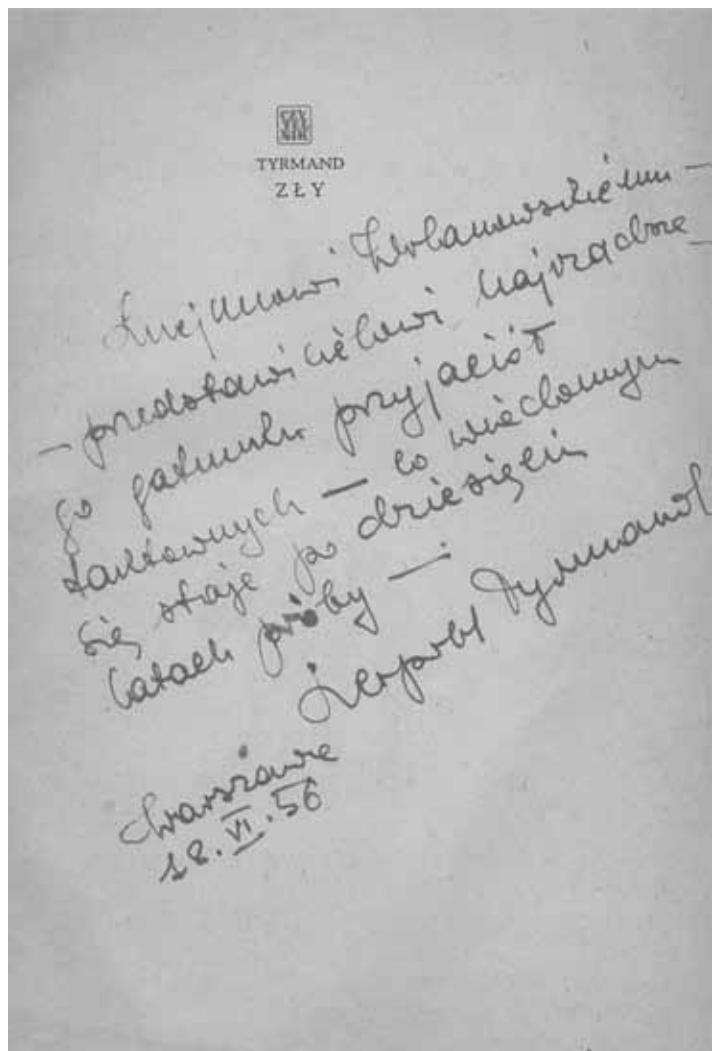
lepsze według niego kąski i nakładał mi na talerz, żeby mnie uhonorować. Miałem więc do jedzenia trzy razy tyle, co oni, i zanim się zorientowałem, co się połyka, a co się wypluwa na ten kamienny stół, nażarłem się różnych muszek, antenek, wąsików, chitynowych panczyków i innych tego rodzaju przysmaków za wszystkie czasy.

Lucjan od dawna zafascynowany jest Australią. Napisał o tym kontynencie kilka książek, i w końcu ten kontynent porwał mu córkę. Ostatnio widziałem pannę Wolanowską w okresie maturalnym. Była to prawdopodobnie jedna z najładniejszych maturzystek Europy. Potem poświęciła się farmacji i w Australii pracuje jako farmaceutka. Poślubiła, jak mówi ojciec, jakiegoś aborygena, który nie potrafił docenić ślicznej Europejki, więc się rozeszli.

Ojciec w Warszawie, córka w Australii. Ojciec odwiedza córkę, ale nie za często, bo to kawałek drogi. Zasięga natomiast jej fachowych porad. Ostatnio zainteresował się melatoniną, lekiem, o którym głośno w różnych „Time’ach” i „Newsweekach”. Podobno dobrze robi na wszystko, m.in. na bezsenność, a Lucjan miewa kłopoty z zaśnięciem. Zdumiewa go tylko, że melatonina pomaga też na inne dolegliwości, a także zapobiega ciąży! Ojcu się to wszystko nie zgadzało, zatelefonował więc do córki farmaceutki chodzącej do góry nogami i zapytał, jak to jest, że coś działa jednocześnie nasennie i przeciwciażowo. „Oj, tata, to przecież takie proste – odpowiedziała. – Jak się śpi, to się nie zachodzi w ciążę...”

LUDWIK JERZY KERN

Ludwik Jerzy Kern (ur. 1921) – poeta, satyryk, autor utworów dla dzieci i młodzieży, tłumacz. Wydał m.in.: *Tu są bajki* (1953), *Ferdynand Wspaniały* (I wydanie: 1963), *Proszę słonia* (I wydanie: 1964), *Cztery łapy* (1969), *Pogaduszki* (2002), *Imiona nadwiślańskie* (2003), *Co w dróko piszczy, czyli póstynia blendofska* (2006 – tu m.in. historyjki, nadesłane przez L. Wolanowskiego, pod pseud. W. Lucjański, na ostatnią stronę dawnego „Przekroju” – tzw. „Rozmaitości”). Publikowany powyżej tekst pochodzi z książki pt. *Moje abecadłowo* (Wydawnictwo Literackie, Kraków 2000, wyd. II: 2003). Drukujemy za łaskawą zgodą autora. (M.K.)



Dedykacja Leopolda Tyrmanda na „Złym” (1956 r.)

Lucjan

Jego listy do mnie zaczynały się zawsze od tego samego zdania: „Tu Lucjan, Twój przyjaciel z długim stażem!”

Poznaliśmy się w Warszawie, byłam zaproszona na rodzinny obiad, poznałam też dwunastoletnią córeczkę Annę, nazywaną przez ojca „Mru-czusem”. Później, kiedy przetłumaczyłam jego książkę reportaży *Lądy i ludy*, został zaproszony przez Instytut Polski w Pradze na jej promocję [w 1983 r. – przypis M.K.]. Zadzwoiłam do niego, że nie ma sensu, żebym dla niego szukała hotelu, i że po prostu będzie w tym tygodniu mieszkał u mnie. „Ale...” – oponował. „Żadnego ale, pokój gościnny czeka”. Był to bardzo przyjemny tydzień, przez długie godziny łaziliśmy po Starym Mieście, zwiedzaliśmy praskie synagogi i muzea, albo odwiedzaliśmy moją matkę w sąsiednim mieszkaniu. Codziennie zapraszał mnie na obiad do, wtedy jedynej, bardzo dobrej chińskiej restauracji w Pradze. Zawsze zachowywał się z nienaganną elegancją (mam oczywiście na myśli przede wszystkim elegancję ducha) i równocześnie bardzo serdecznie. Był to dla mnie polski Europejczyk. Bez konkurencji.



„Lądy i ludy”, wydanie czeskie z 1983 roku w tłumaczeniu H. Stachovej

Jego ogromne poczucie humoru oraz chęć opowiadania sprawiały, że nigdy nie nudziłam się. Polubił moją czarną kotkę i później przysyłał do Pragi kartki zaadresowane „do panny Mindy”. Potwierdził mój pogląd, że szczerą przyjaźń jest największą wartością, jaką możemy w życiu znaleźć. Kiedy spotykaliśmy się później czasami w Warszawie, wydawało nam się, że ostatnio rozstaliśmy się dopiero wczoraj.

Moim zdaniem jego Honor (tak, przez duże H) doprowadził do dwóch bardzo ważnych pomyłek w jego życiu. Po pierwsze, że wrócił jako Polak z uniwersytetu w Grenoble (dokąd go wysłał jego ojciec, żeby go uchronić przed zasięgiem Hitlera) do Ojczyzny Walczącej tuż przed okupacją faszystowską, czego wynikiem było to, że musiał się razem z siostrą przez całą niemal wojnę ukrywać pod Warszawą i drzeć o własne i jej życie. I po drugie (przepraszam, że zdradzam jego absolutnie intymną sprawę) – że pozwolił odejść na zawsze, za granicę, ukochanej kobiecie tylko z obawy, żeby córeczce nie sprowadzić macochy (nie wiedząc, że dziewczynka marzyła

o kobiecej dłoni). Jak widać, mówiliśmy sobie o wszystkim, co nas dręczyło. Wbrew uśmiechniętej twarzy nosił w sobie przez całe życie czarny pesymizm. Kiedy raz powiedziałam na głos: „Lucjan, ty wszystko widzisz czarno”, odezwała się jego starsza siostra: „Widzę, że go Pani dobrze zna.”

Był w swoim czasie najlepszym i najbardziej znanym reporterem. Mówił mi, że o kraju, do którego wyjeżdża, wie zawsze więcej niż podróżnicy, którzy z niego wracają. Potem się po prostu postarzał, nie mógł już podróżować, zainteresowanie jego reportażami spadło. Bardzo z tego powodu cierpiał. Taki jest smutny los reporterów, choćby najświetniejszych. Blask paru lat. Blask chwili. Oni się starzeją, a kraje, które opisywali, często szybko się zmieniają. Ich książki należą już do historii. Lucjan Wolanowski – to przepiękna karta historii polskiego reportażu.

Dla mnie osobiście był to Przyjaciel, jakich mało. Takich jak on, zawsze mało.

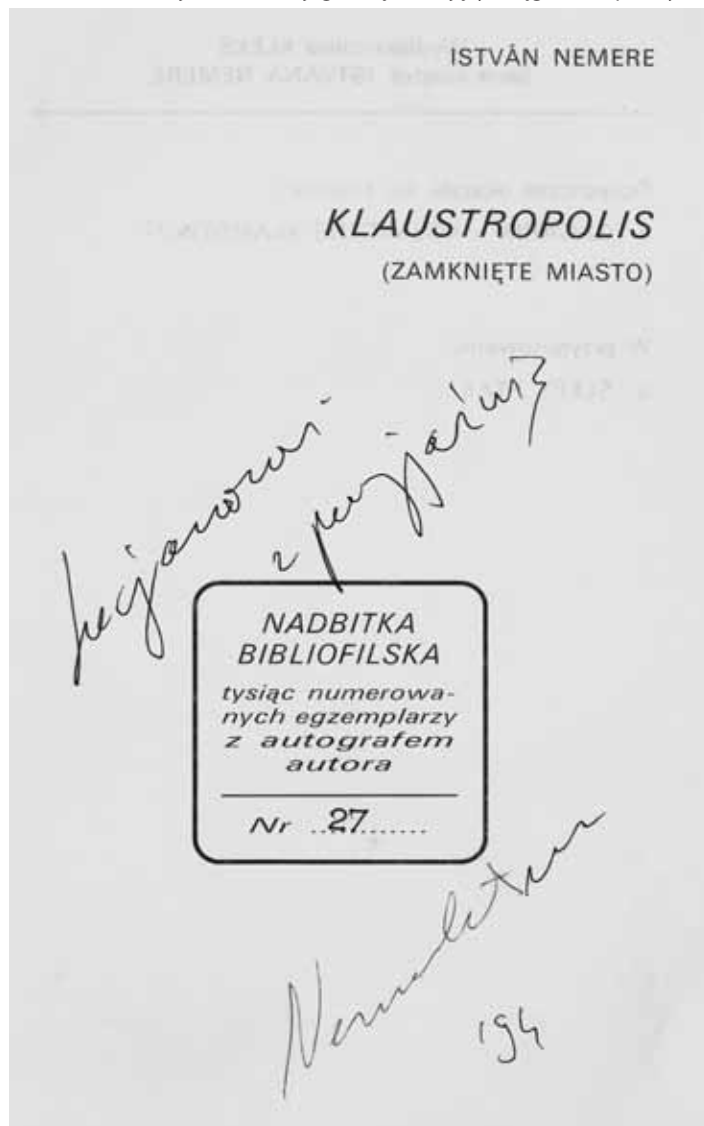
HELENA STACHOVÁ

Helena Stachová (ur. 1931) – córka zasłużonej tłumaczki literatury polskiej Heleny Teigovej. Skończyła polonistykę na Uniwersytecie Karola w Pradze. Polską prozę zaczęła tłumaczyć już w czasie studiów – do dziś ok. 180 wydanych tytułów. Obecnie tłumaczy przeważnie Miłosza, Herlinga-Grudzińskiego i Gombrowicza. W związku z polskim „Procesem Tatarników” sądzona w 1970 roku w czeskim procesie za współpracę z „Kulturą” paryską. Otrzymała nagrody ZAIKS-u, Polskiego Pen-Clubu, „Kultury” paryskiej, dwa razy nagrodę czeskiego Zrzeszenia Tłumaczy, Krzyż Komandorski Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej (1999).

* * *

Lekarz świata

Oczywiście dobrze wiem, że Lucjan Wolanowski nie jest żadnym tam lekarzem. Jednak, jako tłumacz jego książek na język węgierski, uporczywie



twierdzą, że gdzieś w głębi serca i umysłu był urodzonym diagnostą. Był takim wirtualnym lekarzem, który obserwując nasz świat, prawie zawsze znajdował jego różne dolegliwości.

Skąd byśmy wiedzieli o tym, jakie prawdziwe choroby męczą ludzkość na dalekich kontynentach? Jeśli nie z jego książek, skąd wiedzielibyśmy, co dotyka mieszkańców dalekich wysp, dalekich ziem? Kto by nam powiedział, na co cierpią ludzie w Azji Południowej albo Afryce? Kto trafniej opisałby, jakie masowe „choroby” atakują nasz świat nowoczesny? Te choroby nie mają nic wspólnego z biologią, jednak cierpimy na nie – bieda prostych ludzi, głód, brak wody, lekarzy, lekarstw, no i przede wszystkim brak wiedzy.

Pan Lucjan zupełnie inaczej patrzył na świat, niż większość z nas. Miałem okazję jechać z nim samochodem, bywać jego przewodnikiem w tak egzotycznej krainie, jak... Węgry. Jego pytania nieraz zupełnie mnie frapowały. Potrafił tak widzieć sprawy, jak mnie, obeznanemu przecież ze swoim krajem, nigdy nie przyszło by do głowy.

Potrafił zobaczyć to co złe – ale to nie było puste niezadowolenie. Nie szukał „dziury w całym”, nie wytykał innym, że coś złe zrobili. Czynił to wszystko, by – jak lekarz – pokazać, gdzie jest zło, nieraz skromnie sugerował, jak zło naprawiać.

Przebywać, podróżować z Wolanowskim, to jak oglądać naraz dwa filmy. Jeden to krajobraz, miasta, pole, lasy i to wszystko co się tam dzieje, teraz, w realnym czasie. Drugi film rodził się w Lucjanie – komentarze, pytania i moje odpowiedzi łączyły się w całość, rzeczywistość była tam tylko tłem.

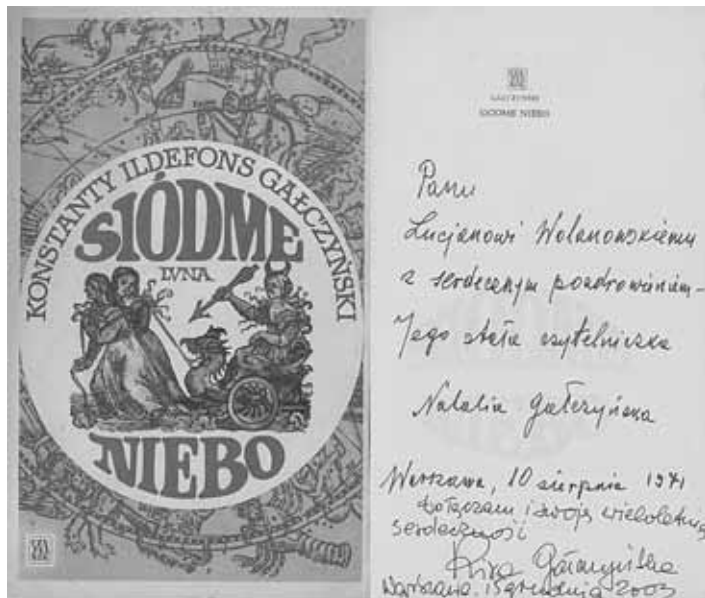
ISTVÁN NEMERE

István Nemere (ur. 1944) – jeden z najbardziej znanych węgierskich pisarzy SF. Dotąd na całym świecie wydano ok. 330 jego książek w 14 językach, wydanych w 11 milionach egzemplarzy. Przetłumaczył ponad 20 książek z polskiego na węgierski (m.in. Ryszarda Kapuścińskiego i Lucjana Wolanowskiego) – jest „ambasadorem polskiej kultury” w swoim kraju. Pisał również po polsku. Przewodniczący esperanckiej sekcji PEN-Clubu.

* * *

Reporter Mórz Południowych

Mieszkając od dziesięcioleci na krańcach cywilizowanego świata, „daleki niż daleko” od rodzinnej Warszawy i spraw polskich, zwróciłem uwagę na nazwisko Lucjana Wolanowskiego, gdy udało mi się sprowadzić jego książkę *Księżyc nad Tahiti: Reporter na wyspach Mórz Południowych* (1963). Już po kilku stronach lektury zorientowałem się, że autor jest wysoce utalentowanym reporterem, jakich rzadko można spotkać. Rozdziały i rozdziałki pisane zgrabną i elegancką polszczyzną, zdradzały styl pokolenia wychowanego w okresie dwudziestolecia Polski niepodległej. Jak zauważył Andrzej Bobkowski, opisując swoje spotkanie z Pawłem Mayewskim, „sanacyjne” gimnazja produkowały wartościowych i ciekawych ludzi. Cytuję tylko z pamięci. Uderzył mnie przede wszystkim talent Wolanowskiego do bystrych obserwacji, uwytłumiony nie tylko w opisach, ale i w bogatej galerii zdjęć fotograficznych. Do tego dochodziła niezwykła zdolność nadawania rozdziałkom niezwykle krótkich, ale jakże ciekawych podtytułów, chwytających



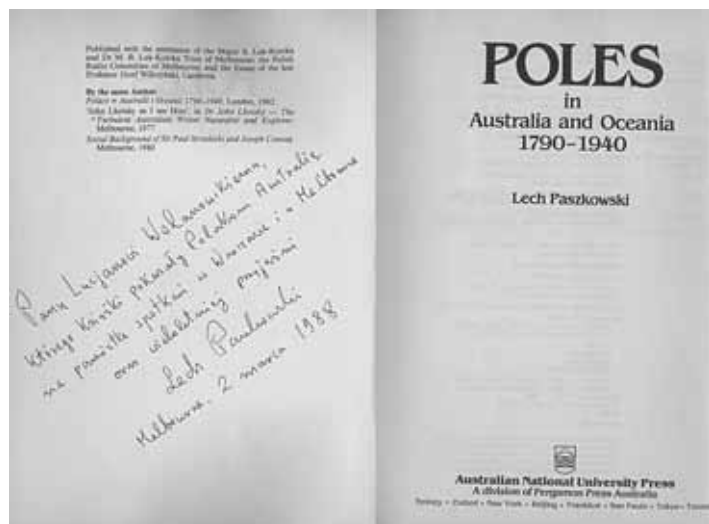
jących czytelnika jak rybę na haczyk. Wszystko to podszyte bogato lekkim i subtelnym humorem człowieka, który potrafi patrzeć na świat i śmieszności życia przez palce.

Później dowiedziałem się od Wolanowskiego, że tuż przed wojną studiował przez rok w Grenoble. Pobyt we Francji w wieku młodzieńczym nie minął zapewne bez wpływu. Humor tego pisarza ma coś z lekkości francuskiego żartu i piny. Zdobyta wcześniej świetna znajomość francuszczyzny przyczyniła się może do łatwości, z jaką zagnieździł się, chociaż tylko przełotnie, w świecie francuskiej Polinezji. Włóczęg się po krajach podzwrotnikowych i tropikalnych, nawet po tak mrocznych zaściankach jak Dili na brzegach wyspy Timor, reporter oglądał je z przymrużeniem oka prawdziwego Europejczyka. [...]

Kiedy po raz pierwszy zapukał do moich drzwi, nie pamiętam, ale było to w latach 60-tych. W drugiej połowie 1968 roku nadeszła z Warszawy książka *Poczta do Nigdy – Nigdy* z dedykacją, którą uważałem za nazbyt szczerobliwą. Na stronie 267 znalazłem rozdziałek pt.: „Tropiciel śladów”. Jest w nim wzmianka o lampie przy moim domu, „która jaśniała w mglistej nocy”. Lipcowe noce w Melbourne zdarzają się mgliste, ale rzadko, gdyż zwykle wieją od południa wściekle morskie szkwały od Antarktydy, przejmujące do szpiku kości, albo z północy wichury z wziębionej pustyni, niosąc z pobliskich wzgórz zapach nie widywanego w Melbourne śniegu. Pogoda w tym wypadku była nieistotna. Do przedpokojku wszedł Lucjan Wolanowski we własnej osobie, z uśmiechem na ustach. Budowy był drobnej, ale proporcjonalnie zbudowany, wyprostowany jak żołnierz, a w ruchach energiczny. W twarzy najbardziej charakterystyczny był uśmiech i ciemne oczy, rzucające spojrzenia zdałoby się sięgające do dna duszy lub zapalające się iskierkami humoru. Miały te oczy jednak w głębi i cień dziwnego smutku. Od pierwszego spotkania przypadliśmy sobie do gustu. Spotkania powtarzały się kilkakrotnie, szczególnie, gdy córka pana Lucjana zamieszkała w Sydney.

Poczta do Nigdy – Nigdy osiągnęła w Polsce liczne wznowienia o wielotyśięcznych nakładach. Był to imponujący reportaż, malujący obraz Australii w latach 60-tych niby kolorową mozaikę doskonale spójną z dziesiątków wyczelowanych rozdziałków. Nie brakowało w nim sporej ilości szkiców poświęconych młodej wówczas Polsce piątego kontynentu.

Zaskakująca była szybkość, z jaką Wolanowski potrafił pisać książki podróżnicze, jak *Westchnienie za Lapu – Lapu* (1973), gdzie opisywał wypad na wody malajskie i wybrzeża Borneo, skąd Joseph Conrad wyniósł tyle natchnienia. Dołączając do tego zajazd na południową Azję, Morze Żółte i Filipiny w reportażach *Upał i gorączka* (1970), czy *Walizka z przygodami* (1977), ze zdumiewającą mnogością opisywanych krajobrazów. Książki te ukazywały się niemal jedna po drugiej w przeciętnych nakładach 30 tysięcy egzemplarzy. Reportaże nigdy nie były płytkie, ale oparte na solidnej wiedzy i znajomości historii obrazowanych krajów. Tom *Buntownicy Mórz Południowych* (1980) świadczy najlepiej o żmudnych i solidnych studiach, przede wszystkim w literaturze anglojęzycznej, o poszukiwaniach biblio-



tecznych i archiwalnych, na jakie znalazł czas Wolanowski wśród ustawicznych lotów i przelotów.

Podczas mojej siedmiomiesięcznej podróży dookoła świata w 1983 roku „rzuciłem kotwicę” również w rodzinnej Warszawie, gdzie znalazłem się po 44 latach. Pan Lucjan zabrał mnie wtedy na dobry obiad do jakiegoś klubu artystycznego. Tematów do rozmowy nie brakowało.

Ostatni raz Wolanowski odwiedził mnie 2 marca 1988. Tym razem był w towarzystwie swego przyjaciela z Australii, Henryka Landsberga, ze znanej na Litwie rodziny ziemiańskiej, który pod Krzyżem Południa pilotował samoloty pasażerskich linii lotniczych. Wróciłem wtedy z rejsu do Tahiti, trwającego cztery tygodnie. Pochwaliłem się znakomitemu reporterowi, że objechałem osławioną perłę Pacyfiku dookoła i oglądałem Muzeum Ganguina z kiepskimi kopiami jego płócien, a na wyspie Bora – Bora znalazłem pod palmą, w ciemnym piasku, prawdziwy amulet w postaci aluminiowej monety dwufrankowej z napisem „Polynesie Française”. Proponowałem również, byśmy na pohybel językoznawcom wprowadzili pisownię zgodną z prawdziwą wymową krajowców, w więc Pape-ete i Mo-orea.

Miałem wtedy okazję, by odwdziżyć się Panu Lucjanowi za szereg jego książek przysyłanych mi z dedykacjami i wręczyłem mu potężną rozmiarem monografię *Poles In Australia and Oceania* (1987), w którą włożyłem dalszych 20 lat poszukiwań, dodając 12 nowych rozdziałów. Nie było to tłumaczenie polskiej wersji z 1962 roku, ale książka napisana na nowo w języku angielskim. Przyjął ją, jak mi się wydawało, z ochotą.

Potem nastąpił wieloletni okres żywej korespondencji, którą ceniłem. W międzyczasie Wolanowski przebywał dłuższy czas w stolicy chłodnej Tasmanii. Pisząc listy z Warszawy wspominał swą troskliwą opiekę nad starszymi siostrami i pogarszający się po 1990 roku rynek wydawniczy. Wzrost popularności telewizji, jak również zawrotna kariera komputerów i Internetu odciążały młodych ludzi od czytania książek.

Inną cechą Wolanowskiego była bezgraniczna gotowość do wykonywania przyjacielskich przysług. Doświadczyłem jej wiele razy. Gdy potrzebowałem na przykład jakiej mapy, zdawałoby się, że był gotów obejść wszystkie księgarnie w Warszawie, by ją znaleźć i dostarczyć. W roku 1997 przesałem mu moją monografię *Sir Paul Edmund de Strzelecki: Reflections of his life*, wydaną na 200-lecie urodzin podróżnika. Wraz z moim starszym kolegą z warszawskiego gimnazjum Mickiewicza [Ryszard Matuszewski – przypis M.K.] robił wszystko co mógł, by zainteresować firmy wydawnicze przekładem na polski i wydaniem go w kraju. Jakkolwiek to się nie udało, moja wdzięczność za sam odruch trwa do dziś.

Gdy niespodziewanie znalazłem w skrzynce na listy numery „Gazety Uniwersyteckiej” z Katowic, dowiedziałem się i ucieszyłem prawdziwie, że pismo to drukowało stale artykuły Wolanowskiego. Pisarz, który wzbogacił literaturę polską, wydając dziewięć książek o Australii i pobliskich rejonach geograficznych pod Krzyżem Południa, nie powinien być zapomniany.

LECH PASZKOWSKI

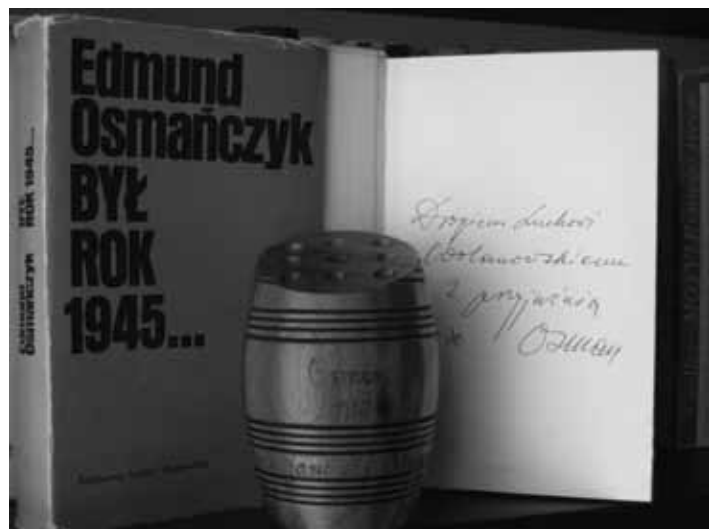
Lech Paszkowski (ur. 1919) – prozaik, historyk. Brał udział w kampanii wrześniowej 1939, po wojnie w Niemczech, Francji, a od 1950 w Australii. Współpracował m.in. z londyńskimi „Wiadomościami” i paryską „Kulturą”. Autor wielu prac historycznych, m.in. *Polacy w Australii i Oceanii 1790-1940* (Londyn 1962).

* * *

Zanim osobiście poznałam Lucjana Wolanowskiego, przez wiele lat czytałam jego publikacje na łamach czasopism, w czasach, kiedy hermetyczne prawa uniemożliwiały podróżowanie za granicę. Możliwość czytania relacji z dalekiego świata, z „pierwszej ręki”, pisanych przez wiarygodnych ludzi, których można było spotkać na ulicy, czy w kawiarni, była ożywym powiewem. Artykuły Wolanowskiego znalazłam przede wszystkim ze „Świata” i „Przekroju”.

Osobiście miałam przyjemność poznać pana „Lucka”, o którym mój mąż Edmund Jan Osmańczyk opowiadał mi wszystko co najlepsze, stosunkowo późno. Dość długo mieszkaliśmy na południowo-zachodniej półkuli, w stosunku do PRL-u – na końcu świata, Wolanowski natomiast stale podróżował.

W połowie lat 60-tych opanowała mnie obsesyjna chęć podróży do Australii. Z pomocą przyszedł przypadek, a właściwie wypadek, któremu



Statuetka nagrody „Osmana”, w tle książka z dedykacją od Edmunda J. Osmańczyka

Foto: M. Kubik

ulegliśmy na rozmytej deszczem szosie pod miastem Orizaba w Meksyku. Odszkodowanie z miejscowej ubezpieczalni okazało się wystarczające nie tylko na pokrycie kosztów leczenia, ale i zakup dwóch biletów lotniczych. Choć władze Związku Australijskiego bardzo niechętnie wpuszczaly na swoje terytorium obywateli KDL-ów, po pół roku wizę jednak nam przyznało. Nowozelandzkiej nie dostaliśmy nigdy.

Kiedy zaczęliśmy myśleć o zamierzonej podróży w praktycznych kategoriach, mąż stwierdził, że „przecież Lucke (Wolanowski) wie wszystko o Australii” i jego trzeba poprosić o ewentualne wskazówki, aby móc podróżować w sposób najbardziej ekonomiczny. Napisał do niego w tej sprawie i dosyć szybko dostał wyczerpującą list z odpowiedziami na zadane pytania. W międzyczasie pojawił się u nas w domu red. Ryszard Bańkiewicz, z równie obszernym listem od Wolanowskiego, w którym pisał on, że „posyła do Meksyku swego umyślnego, żeby sprawdzić, czy nam się krzywda nie dzieje”. Kiedy wylądowaliśmy na lotnisku w Sydney, na skutek „zlecenia” pana Lucka stawiła się tam cała rodzina pp. Nasielskich, dwa pokolenia. W ich gościnnym domu znaleźliśmy oparcie, przyjaźń i praktyczne wskazówki jak najlepiej wykorzystać nasz australijski czas.

Już po powrocie do Polski opublikowałam książkę poświęconą zagadnieniom stanu medycyny w Ameryce Łacińskiej. Byłam zdziwiona, że takim samym tematem zajął się, na drugim końcu kuli ziemskiej, Lucjan Wolanowski, który relacjonował epidemie w Azji Południowo-Wschodniej. Kiedyś, będąc na Słowacji wpadła mi w ręce miejscowa kopia tej książki pt.: *Úpal a horúčka*. Kiedy powiedziałam moim miejscowym przyjaciołom, że znam osobiście jej autora, odczułam obok okazywanej mi zawsze serdeczności także coś w rodzaju zwiększonego szacunku. Książka Wolanowskiego została przetłumaczona na kilkanaście języków. Moja, zdaje się, poszła na przemiał.

Z natury nie znoszę zimna, toteż wyjątkowo dokładnie zapamiętałam opis Wolanowskiego (w *Zwierciadło bogini*), jak marzył on w nieopalanym japońskim hotelu w czasie tamtejszej zimy. Mój mąż na początku lat 60-tych ubiegłego stulecia ustanowił nagrodę za najlepszy reportaż, którą nazwał „Osmanem” – jej materialnym wyrazem była w pierwszym okresie beczulka z otworami na olówki zrobiona z pięknego brazylijskiego drzewa *imbuia* z wypalonym napisem „OSMAN” i wypisywanymi nazwiskami kolejnych laureatów. „Osmana” za *Zwierciadło bogini* otrzymał Lucjan Wolanowski.

Zapamiętałam go jako nobliwego, eleganckiego pana o nienagannych manierach. Wydaje mi się, że erudycja odbijała się na jego twarzy. Nigdy nie byłam w stanie zrozumieć, jak to się dzieje, że przy problemach ze słuchem, jakie posiadał od dzieciństwa, podpierając się głównie odczytem ruchu ust, jest w stanie uczestniczyć w każdej rozmowie, w każdym języku? Jego śmierć była dla mnie absolutnym zaskoczeniem. Wydaje mi się, że był to kolejny bliski dzwonek zwiastujący, że odszedł ktoś kolejny, z „sąsiedniej półki”.

JOLANTA KLIMOWICZ-OSMAŃCZYK

Jolanta Klimowicz (ur. 1930) – dziennikarka. Współpracowała m.in. z Polskim Radiem, „Kurierem Polskim”, „Życiem Warszawy”, „Trybuną Robotniczą”, „Rzeczpospolitą”. Autorka kilku książek, m.in.: *Życie i śmierć w Ameryce Łacińskiej*.

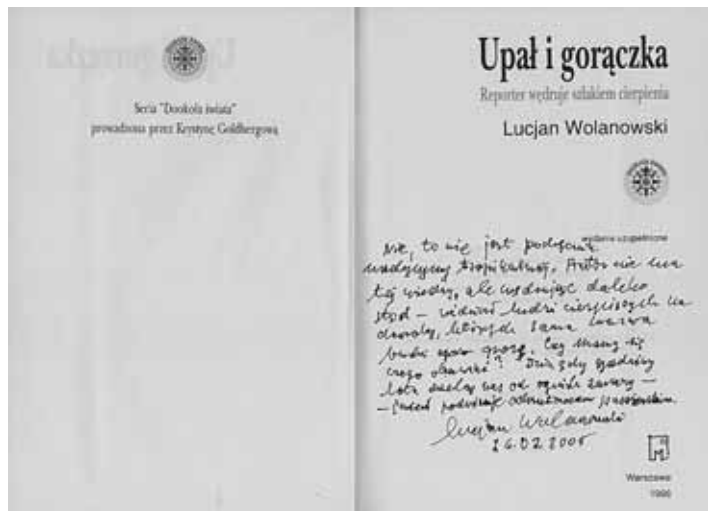
skiej (1970), *Meksyk zaczyna się w Veracruz* (1977). Żona dziennikarza, pisarza i dyplomaty Edmunda Jana Osmańczyka (1913-1989).

* * *

Lucjana Wolanowskiego poznałam przed ponad półwiekiem, w ważnym i dla niego i dla mnie 1953 roku. Wtedy to ukazał się pierwszy tom jego reportaży *Przeważnie o ludziach*, ja zaś zostałam pracownikiem stworzonej przez Zbigniewa Stolaraka redakcji reportaży w „Iskrach” i tak się stało, że i Lucjan i ja byliśmy i pozostaliśmy wierni temu gatunkowi.

O swojej pierwszej książce po latach wypowiadał się niechętnie, mówiąc, że to „nudy na pudy o budowach socjalizmu”. Nie zgadzam się z tym. Moim zdaniem, w czasie, gdy w Polsce ukazywały się książki „o śrubkach i uszczelkach”, jak się mawiało, ta książka była właśnie „o ludziach”. Co więcej – jej kształt formalny: język, styl, konstrukcja reportaży, daleki był od „bylejakości”, zapowiadał p i s a r z a.

Musimy zdobyć Wolanowskiego – powiedział mi Zbyszek Stolarek i tak się stało. Już wkrótce wydaliśmy, m.in. jego reportaże z Czechosłowacji pt.: *Na południe od Babiej Góry*.



„Nie, to nie jest podręcznik medycyny tropikalnej. Autor nie ma tej wiedzy, ale wędrując daleko stąd – widział ludzi cierpiących na choroby, których sama nazwa budzi grozę. Czy mamy się czego obawiać? Dziś, gdy godziny lotu dzielą nas od ognisk zarazy – śmierć podróżuje odrzutowcem pasażerskim” – Autokomentarz do „Upału i gorączki”, wydanego pod redakcją Krystyny Goldbergowej (Warszawa, 26.02.2005; Archiwum Mariusza Kubika)

Ale na kolejne książki czekaliśmy kilkanaście lat. Najpierw Lucjan miał kłopotów co niemiara, publikując swe relacje z krakowskiego „Procesu Mazurkiewicza”. Później, jako etatowy dziennikarz „Świata”, „Dookoła Świata”, współpracownik „Przekroju” - musiał przecież wypełniać swoje dziennikarskie pensum. Był poza tym wierny „Czytelnikowi”, gdzie ukazywały się jego późniejsze książki, które przyniosły mu sławę, nie tylko w Polsce. Był tłumaczony na 7 języków obcych. Nie będę ukrywać – zazdrościliśmy kolegom z Wiejskiej *Zwierciadła bogini*, *Księżyc nad Tahiti*, *Klejnotu korony*. Cóż jednak mieliśmy robić?...

Dopiero w 1969 Lucjan przyjął naszą propozycję otwarcia nowej serii w dziale reportaży „Iskier” pt.: „Łowcy sensacji”. Był jej pierwszym autorem, wydając książkę *Z zapartym tchem*. „Materiał zbierał zarówno w trzech wędrowkach dookoła świata, jak i wyprawach na ulice Warszawy. Reporter przedstawia «króla peret», niewiarygodnego pana Mikimoto, zaprasza na polowanie na wieloryba i do kasyna gry w Monte Carlo. Przyglądamy się akcji polskich statków ratowniczych na wodach norweskich, śledzimy przebieg wielkiej epidemii cholery w Hongkongu. Idziemy między trędowatych w Japonii i wstępujemy na ulicę w Singapurze, gdzie się umiera. [...] W australijskim buszu ściga nas tropiciel śladów, dosłownie «od kuchni» poznajemy wielką restaurację w Paryżu. Ponure echa wojny i okupacji odzywiają na sali sądowej w Warszawie, a na Nowej Gwinei, tam gdzie czas się zatrzymał, wędrujemy między ludźców” – napisałam wówczas na skrzydełku obwoluty tej książki.

Lata 60-te przyniosły „latającemu reporterowi” bodaj najciekawszą podróż. Jak wiadomo, *Klejnot korony* – książka o Hongkongu, zyskała uznanie Światowej Organizacji Zdrowia. Współpracując z nią Lucjan napisał jedną z najważniejszych, tłumaczonych na wiele języków, książek – *Upał i go-*



Dedycacja od Thora Heyerdahla na norweskim wydaniu „Aku – Aku” (Oslo, 1957)

rzeczka, o chorobach tropikalnych rejonu Pacyfiku, groźnych również dla Europy - którą mogliśmy dwukrotnie wydać w „Iskrach”. Po latach, w 1996 roku wznowiłam ją w reaktywowanej serii „Dookoła Świata”, w wydawnictwie „Muza”. Później jeszcze ukazał się w „Iskrach” wybór jego reportaży pt.: *Walizka z przygodami*.

Najważniejszym jego tematem była Australia i jej poświęcił najbardziej znane swoje książki. Wracał tam chętnie, również do swojej córki Anny. Anna, Ania, Anusia – to właśnie ona – córeczka, była jego największą miłością. Gdy była malutka, opiekował się nią jak najczulsza matka. A gdy o niej opowiadał, oszczędnie dobierając słowa – gadulstwa nie cierpiał – w jego czarnych, smolistych oczach zapalały się złote, radosne iskiarki. Takie oczy mają tylko dobrzy ludzie. Lucjan był dobrym człowiekiem. Nigdy nie użalał się nad sobą, nigdy nie opowiadał o przeżyciach czasu wojny, kiedy się ukrywał. Podobnie, jak ja - w trzecim i czwartym pokoleniu – Lucjan był Warszawiankiem. I kochał to nasze miasto, chociaż nigdy nie mówił o tym.

Najbardziej wyszukane dowcipy, z których słynął, opowiadał zawsze z kamienną twarzą. Słuchacze zarykiwali się ze śmiechu a on nawet się nie uśmiechnął. Nazywano go „ścianą płaczu”, choć chyba ten drugi rzeczownik nie jest może tak bardzo celny.

Nigdy nie zatajał swojego żydostwa ale i tego, że księgi Talmud są mu całkowicie obce. Pochowano go na warszawskim Cmentarzu Żydowskim, bez „B.P.” na tabliczce. Odpoczywaj w pokoju mój bracie – półbłźniaku. To nie żart! – urodził się, jak ja, 26 lutego, tyle, że data roku była inna.

KRYSTYNA GOLDBERG

Krystyna Goldberg (ur. 1930) – redaktor, dziennikarka. M.in. przez 32 lata (do 1984 r.) związana z wydawnictwem „Iskry”, kierownik redakcji reportaży, opiekunka znanej serii „Naokoło świata”, wznowionej pod jej kierownictwem w latach 1995-1998 w Wydawnictwie „Muza” („Dookoła świata”). Wieloletnia wykładowczyni Instytutu Dziennikarstwa UW.

* * *

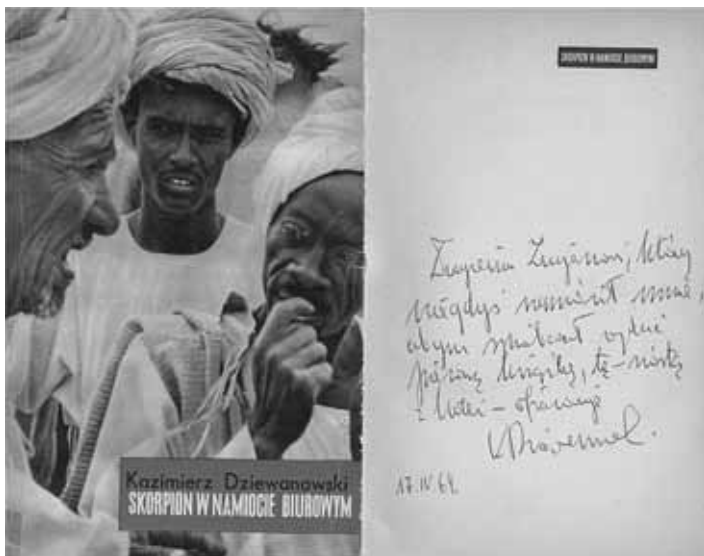
Moją młodość – do 1939 roku, spędziłem w Rabce. M.in. przez trzy lata uczyłem się w Gimnazjum Wieczorkowskiego i tam poznałem Lucjana. Przyjaźnił się tam z braćmi Sobańskimi, Jackiem Kadenem z Rabki, czy Jackiem Woźniakowskim. Ode mnie był starszy o cztery lata, a w tym wieku to spora różnica. Lucjan mieszkał w internacie, ja poza gimnazjum. Wielokrotnie powtarzał mi, że pomimo wszystkich swoich rozjazdów po świecie, takich czy innych przygód, poznanych osób – uważał okres szkoły w Rabce za najlepsze lata swojego życia. Obaj z wdzięcznością wspominaliśmy zawsze swoich profesorów, w tym Jana Kuczę – jego wychowawcę i opiekuna pisma „Szczebioty”, które Lucjan redagował.

Gimnazjum było osobliwym zjawiskiem. Istniały w Polsce prywatne zakłady wychowawcze, np. jezuicki w Chyrowie, ale były w pewnym sensie zamknięte, niezbyt otwarte na świat. Wieczorkowski nie stawiał żadnych barier poznawczych, dawał swobodę światopoglądu, poznawania świata, ludzi i ich poglądów, czerpania wiedzy pozaszkolnej.



Znajomość z Lucjanem odnowiliśmy po wojnie. Dowiedział się, że pracuję w „Przekroju” i w 1947 roku prosił mnie o kontakt z Marianem Eile - miał dla niego bardzo ciekawe propozycje, które zostały przyjęte. W „Przekroju” pisał m.in. o procesach katów oświęcimskich. Jego drogą do sławy okazały się późniejsze reportaże z „Procesu Mazurkiewicza” – zbrodniarza mordującego ludzi z elity krakowskiej, których szantażował rzekomą wiedzą z czasów okupacji.

Lucjan „otwierał świat” przed ludźmi, do których nie docierały w latach powojennych żadne informacje. Pokazywał im nowe nieznanne rzeczy, ale



poprzez ciekawostki. Zagłębianie się w temat uważała za drogę do niepotrzebnej pseudointelektualnej paplaniny, w czym miał rację, choć moim zdaniem, tylko częściowo.

Spotykaliśmy się, co prawda niezbyt często, u niego na Odolańskiej - był to dom należący do PAP, tam Lucjan mieszkał od lat. Spotykało się u niego Poldka Ungera, Jurka Rosa, innych dziennikarzy z tamtego okresu. Lucjanowi zawdzięczam swoją pracę w „Świecie” – pracowałem tam 13 i pół roku, dzieląc z Lucjanem pokój redakcyjny. Przychodził do redakcji późno, zawsze z gotowym materiałem, który pisał czasem do białego rana. Nie brał właściwie udziału w bieżących pracach redakcyjnych, był „wolnym strzelcem”, zajmował się bezgranicznie swoimi tematami, jego materiały podnosił nakład „Świata”.

Źle przeżył 1968 rok i atmosferę antysemicką w redakcji, narastającą już wcześniej. Wkrótce potem nastąpił koniec pisma „Świat” a dziennikarze znaleźli się w różnych redakcjach.

ALEKSANDER ZIEMNY

Aleksander Ziemny (ur. 1924) – poeta, prozaik, reportażysta, tłumacz poezji hebrajskiej i rosyjskiej. W latach 30-tych uczeń Gimnazjum Sanatoryjnego Męskiego Dra Jana Wieczorkowskiego w Rabce. Po wojnie m.in. dziennikarz „Przekroju”, Agencji Prasowo-Informacyjnej (API) i „Świata”.

* * *

Mieszkaliśmy kiedyś w jednym domu. Patrzyliśmy z okien na piękny kasztan, który Lucjan uwiecznił w jednym ze swoich tekstów. On był już sławnym dziennikarzem, autorem wielu książek i znanym podróżnikiem. Ja – adeptką dziennikarstwa. Pod Jego okiem dojrzewałam zawodowo. Nauczył mnie bardzo dużo. Zawsze na Niego mogłam liczyć. Nasza przyjaźń przetrwała lata.

Nie będę pisała o Jego wspaniałych dokonaniach zawodowych, ale o tym, jaki był na co dzień. Był bardzo punktualny – cecha teraz rzadko spotykana. Był prawdomówny, skromny, uczynny, serce miał dla wszystkich otwarte. Dla ludzi i zwierząt. Wszystko, co o nim napiszę, to będzie za mało...

Widziałam Go po raz ostatni dzień przed śmiercią – z serca połały się łzy. Przesunął się gdzieś do cienia. Myślę, że spotkam Go pod naszym kasztanem.

ELŻBIETA JUNOSZA - STĘPKOWSKA

Elżbieta Junosza-Stępkowska – dziennikarka, pracowała m.in. w pismach „Kierunki”, „Słowo Powszechne”, „Kurier Polski”, „Veto”, ostatnio „Malwa”. Autorka cyklu książek pt.: *Gwiazdy gotują dla nas* (t. I – III, wyd. 1990, 1992, 1995), w przygotowaniu tom IV.

* * *

Wszystkie wypowiedzi zebrał i opracował:

MARIUSZ KUBIK
kmarius@onet.pl

Krótki załącznik do długiej przyjaźni PAMIĘĆ

Był ukrytym i dyskretnym narratorem swoich książek. Czytając je, rozpoznając ich język, perspektywę, grę skojarzeń, umiejętne połączenie faktów i komentarza, ma się pewność, że są napisane właśnie przez niego.

Wyznaczał sobie, w pracy i w życiu, wielkie cele. Miał równocześnie – co rzadkie – dystans do siebie i świata. A był prawie wszędzie i widział mnóstwo. Część z tego opisał, ale część zachował na zawsze w pamięci. Pamięć, również ta

z czasów wojny, powracała do niego często, coraz częściej, zwłaszcza ostatnio.

Ze swoich wędrówek, dalekich i bliskich, przywoził wiedzę o wielkich i słabych stronach człowieka. Nie interesowała go egzotyka, ale to właśnie, co pozwoliłoby naturę ludzką lepiej pojąć. Ostatnią, codzienną i najbardziej konsekwentną podróż wyznaczała trasa z Mokotowa do Śródmieścia, do domu chorej starszej siostry, której nie chciał (i myślę, że nie planował) zo-

stawić samej. Wiem, że była to dla niego jedna z podróży najważniejszych.

To, jakim był człowiekiem, wiedzą ci wszyscy, których obdarzał swą wyjątkową przyjaźnią. Jego przyjaźnie pozostawały trwałe, bez względu na czas i odległość. Był w nich oddany i to w sposób dyskretny. Te z czasów Rabki, późniejsze – z wypraw w najdalsze zakątki świata, pracy dla WHO, również i te najnowsze. W każdej z nich łączył szczególny rodzaj elegancji z wyrozumiałością,

Dla A. N.



Wyszukiwanie materiałów źródłowych do kolejnego tekstu było tylko wstępem do długich dyskusji (Warszawa, kwiecień 2003)

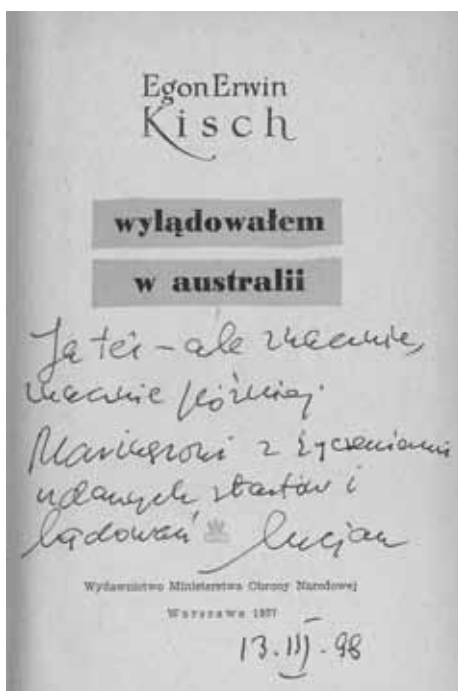
tolerancją dla ludzkich ułomności, dystansu, zwłaszcza do spraw, na które i tak nie można mieć wpływu. Tolerancja nie oznaczała każdorazowej akceptacji. W ocenie osób i zdarzeń bywał pesymistą i czasem dawał temu wyraz. Ale własne potknięcia i pomyłki weryfikował w pierwszej kolejności.

W jego kontaktach z ludźmi nie było wyższości „wiedzącego więcej” – jego rozległa wiedza brała się właśnie z ciekawości dużych i małych spraw, z których składa się historia każdego z nas. Czytając jego list, czy rozmawiając z nim miało się, jak nigdy, poczucie szczególnej uwagi, on sam był wyjątkowym rzecznikiem spraw cudzych, rzadziej własnych. Potrafił słuchać, a w każdej historii zobaczyć i odnaleźć t e m a t.

Był ciekaw młodego dziennikarstwa, miał jednocześnie świadomość, jak zmieniły się reguły tego zawodu. Czytając, jednym cełnym spojrzeniem, czy trafną uwagą oceniał i puentował to, na co innym potrzeba byłoby wieków paplaniny. Jego przemyślenia i uwagi były bezcenne i zawsze merytoryczne, co wiem, bo był też pierwszym czytelnikiem większości moich tekstów.



Warszawa, wrzesień 2004



Egon Erwin Kisch (1885-1948), reporterski wzór dla Wolanowskiego

Przez ostatnie lata redagowaliśmy publikacje, odpowiadaliśmy na listy, porządkowaliśmy papiery. Każdy artykuł opierał się na książkach i materiałach źródłowych. Większości z nich do tej pory, jak sądzę, nie można znaleźć w żadnej polskiej bibliotece.

Codzienna porcja lektur, z zaprzyjaźnionego kiosku na rogu Odolańskiej i Puławskiej, kupowany sumiennie „Der Spiegel”, drobniaczkowo czytany i odkładany dla przyjaciela – lekarza. Książki: te dawne i nowe, przywożone w walizkach z całego świata, niemal bez wyjątku bezcenne dla znawców tematu, ale też z którymi łatwo potrafił się rozstać. Wie o tym wiele znających go osób. Myślę, że był to z jego strony wyraz wyjątkowej wdzięczności. Ile z tej wdzięczności, i jak, umieli mu okazać ci, którzy mogli się cieszyć jego przyjaźnią?...

„Im więcej szczegółów, tym mniej czytelników”, zwykł mawiać za Josephem Kesselem, wielkim francuskim dziennikarzem. Dziś ogarniamy pamięcią, łączywie, ich bezmiar, myśląc, jak dobrym człowiekiem i dobrym reporterem był on sam.

MARIUSZ KUBIK

Warszawa, 26 lutego 2006 r.

<http://www.wolanowski.com>

W 2001 roku powstała strona internetowa Lucjana Wolanowskiego. Założyliśmy ją w przekonaniu, że pokazanie dorobku i historii pracy pisarza może być skromnym tylko i jednym z wielu wyrazów wdzięczności za jego kilkadziesiąt lat pracy reporterskiej, za książki, które poznaje kolejne już pokolenie adeptów dziennikarstwa, za jego wrażliwy zmysł obserwatora i kronikarza dziejów najnowszych. Sam jej Bohater był świadom, że internet zrewolucjonizował przekaz informacji, zmieniając reguły dziennikarskiego zawodu, ułatwiając to wszystko, co w czasach jego największej aktywności zawodowej wymagało często wysiłku i wytężonej pracy.

Chcemy zachować dla obecnych i przyszłych badaczy, z Polski i nie tylko, to wszystko, co wiąże się z działalnością i pracą Lucjana Wolanowskiego. Będziemy wdzięczni za informację o wszelkich związanych z nim i dotyczących go materiałach rękopiśmiennych, tekstowych, fotograficznych, audiowizualnych i innych, które moglibyśmy – po skopiowaniu i obróbce komputerowej – umieścić w jego archiwum na stronie internetowej. Pokazać osobowość człowieka i zachować świadectwo jego dzieła, byłoby może tym, co on sam uważał za ważną cechę swojego zawodu – pamięcią dla dzielności i uwagą dla sztuki.

ŁUKASZ ADAMCZYK
l.adamczyk@gmail.com
<http://free.art.pl/adamczyk>

MARIUSZ KUBIK
kmarius@onet.pl
<http://www.mariuszkubik.pl>

Adres do korespondencji: skrytka pocztowa 64, PL 00-955 Warszawa 15, POLAND

Szczególne podziękowania za okazaną życzliwość i pomoc w przygotowaniu materiału zechcą przyjąć: pp. Elżbieta Wassongowa, Maria i Jacek Woźniakowscy, Marta Stebnicka, Joanna Makólska – Kowalska, Ludwik Jerzy Kern, Maria (Inka) Braunstein.

Warszawa, 2 kwietnia 2006 r.

M.K.

